CENA 50 GR.

NARÓD i PAŃSTWO
TYGODNIK

ROK IV. WARSZAWA, 2 Lipca 1939 R. NR 23-24

Peremnis

Przed wielką próbą

Przeciwstawienie wielkich demokracyj i państw t. zw. osi nie jest istotą położenia międzynarodowego. Jest tak nietylko dlatego, że w obozie przeciwników osi znajdują się oprócz wielkich demokracyj Anglii Francji oraz w rezerwie niejako Stanów Zjednoczonych — także i inne państwa, a w pierwszym rzędzie Polska coraz bardziej świadoma tego, iż jej droga nie jest ani drogą totalizmu, ani drogą demoliberalizmu. Wspomniane przeciwstawienie jest dla tego przede wszystkim nieistotne, że po jednej stronie stoją Wielka Brytania i Francja, gdy po drugiej nie stoją Niemcy i Włochy, ale Niemcy narodowo-socjalistyczne i Włochy faszystowskie. Należy sobie zdać sprawę z tego, iż Niemcy „poprostu" i Włochy „poprostu" jak by zniknęły z mapy Europy, tak samo jak zniknęła Rosja. W tem tkwi wielka słabość ustrojów totalnych, tym większa, że w ich naturze leży niemożność dostrzeżenia tej słabości.

W innych państwach panujący układ stosunków politycznych może być bardzo nawet ceniony, jeśli nie przez wszystkich to przez dużą część społeczeństwa. Tak jest w Anglii i w Stanach Zjednoczonych i tak jest również we Francji, chociaż w tym kraju jest wielu zasadniczych wrogów panującego ustroju. Ale pozytywny stosunek do panującego systemu politycznego, to jeszcze nie jest postawienie go na takim piedestale, iż obywatel, nie będący jego zwolenikiem, jest traktowany już nie jako czynnik politycznie podejrzany, niepewny czy też nieprawomyślny, ale poprostu jako renegat i wyrzutek społeczeństwa; wystarczy porównać ze sobą położenie monarchisty we Francji i jakiegokolwiek przeciwnika narodowego socjalizmu w Niemczech. Możnaby powiedzieć, iż w państwach t. zw. osi gubi się (a może już zgubiono) świadomość prawdy, że **Ojczyzna jest bezpartyjna.** Oznacza to, iż Ojczyzna nie należy wyłącznie do żadnej grupy politycznej i do żadnej ideologii, stojąc ponad niemi. Wynika stąd, iż żadna nawet najgłębszą wiarą w siebie ożywiona grupa polityczna nie może przy uznaniu tej prawdy uważać swych przeciwników politycznych za nie współrodaków i niewspółobywateli, a to już stwarza pewne nieprzekraczalne granice w stosunku do tych przeciwników.

W ustrojach totalnych współczesnych Niemiec i Włoch panujący system polityczny nie jest postawiony poniżej idei Ojczyzny, ale z Ojczyzną utożsamiony, jako jedyny prawowity i zupełny przedstawiciel ducha narodowego. Konsekwencją tego musi być uznanie, iż kto nie jest zwolennikiem tego systemu (cóż dopiero gdy jest przeciwnikiem) jest wyrodkiem swego narodu i nawet jeśli przypuszcza się, że ze względu na swe pobudki nie jest renegatem, powinien być traktowany z nim narówni.

Totalizm to coś o wiele więcej niż silny rząd i niż dyktatura, nawet pojmowanie totalizmu, jako dyktatury jednego stronnictwa o ideologii i programie ogarniającym całokształt życia narodowego, nie trafia w istotę tego systemu. Totalizm to samoubóstwienie się zwycięskiego ruchu politycznego, który przyznaje sobie nieomylność i doskonałość, niezwyciężoność i zdolność do urzeczywistnienia wszystkiego co za słuszne uznaje. Niema poza nim zbawienia i on niesie całkowite zbawienie. Należy mieć na uwadze, iż nie chodzi tu tylko o mocną wiarę w prymat idei narodowej, ale o jedynie dopuszczalną interpretację tej idei znajdującą swój wyraz w ideologii partyjnej. Ale nie wystarcza również najgorliwsze wyznawanie tej ideologii, trzeba wierzyć w przyjęty przez ruch sposób jej urzeczywistnienia. Nietykalną świętością staje się również każde posunięcie polityczne, jak aneksja Czech i Albanii w danej chwili i w danych warunkach. I jest to bardzo konsekwentne, podstawą totalizmu bowiem nie jest wiara w ideę, ale w pewną rzeczywistość o ile ona się wyraża w określonym ruchu politycznym [1]).

Jest jakieś nieprawdopodobne szaleństwo w takim stanowisku. Kto powołuje się na nadprzyrodzone źródło doskonałości i nieomylności swego postępowania ten zamyka usta swym przeciwnikom (nie przekonywując ich oczywiście), gdyż przyjmuje założenie, w którego świetle takie stanowisko jest zrozumiałe. Ale co powiedzieć o ruchu politycznym, który bez takiego założenia uważa się za doskonały i nieomylny. Taki ruch staje w sprzeczności z najbardziej elementarnymi i oczywistymi zdobyczami mądrości życiowej wszystkich krajów i wieków, jak ułomność natury ludzkiej i niedoskonałość wszelkiej realizacji.

Może ktoś powie, że taki obraz totalizmu jest przesadny, gdyż spotykał jego przedstawicieli, którzy w ocenie swego ruchu zachowali pewien umiar nie dochodząc do szaleńczej w niego wiary. Należy jednak pamiętać, że żaden ruch nie może doprowadzić do absolutnej jednolitości uczestników i że każdy ma swych heretyków, t. j. tych, którzy niezupełnie zrastają się z jego duchem. Samoubóstwienie ruchu politycznego jest **przemożną tendencją** totalizmu, [1]), a ci uczestnicy ruchu, którzy nie dochodzą do takiej krańcowości, nie mają odwagi się jej przeciwstawić, a gdy odwagę tę mają zostają wyrzuceni poza nawias.

Przedstawicielem ruchu, jego niejako wcieleniem, jest osoba wodza, który staje się przedmiotem kultu bałwochwalczego. W Niemczech mówi się nietylko zupełnie poważnie o nieomylności Hitlera, ale nawet układa się modlitwy do niego. Mamy tu do czynienia ze zjawiskiem mocno odmiennym od innych rodzajów kultu wielkich ludzi, jest to coś zbliżonego do apo-

[1]) Analogie między systemami totalizmu: włoskiego faszyzmu i niemieckiego narodowego socjalizmu z jednej strony, a rosyjskiego bolszewizmu z drugiej są oczywiste.

teozy cezarów w starożytnym Rzymie w jego najgorszych czasach. Mimowoli przychodzą na myśl prorocze słowa Spenglera: „Drugiego Goethego mieć nie będziemy, ale Cezara".

Lecz jeśli totalizm jest w swej istocie szaleństwem, to nie wynika stąd bynajmniej, iż należy doń podchodzić z szyderstwem i lekceważeniem. Szyderstwo byłoby rzeczą szpetną, bo i tu mamy do czynienia z wiekuistą tęsknotą do ideału. Lekceważenie byłoby rzeczą niemądrą, gdyż totalizm jest bezwarunkowo zdolny do wytworzenia wielkiej siły i rzeczywiście ją wytworzył. Szaleńcza wiara w ruch polityczny pociąga za sobą ogrom energii życiowej, która potrafi dokonać wielkich rzeczy. To jest ów sławny dynamizm ustrojów totalnych, który tak bardzo imponuje obserwatorom wrażliwym, albo nie umiejącym wniknąć głębiej w istotę rzeczy. Bo że paroksyzm energii może dokonać wielkich rzeczy, to jeszcze nie wyczerpuje kwestji. O dodatnich stronach oddziaływania narkotyków możnaby napisać całe tomy, ale to w niczym nie obala prawdy, że narkotyki niszczą organizm. Wiara w w doskonałość i niezwyciężoność ruchu politycznego może potęgować energię życiową i to jest silna strona totalizmu. Ale ta wiara mieści w sobie zarazem źródło niezmiernej słabości, **gdyż czyni ludzi niezdolnymi do znoszenia niepowodzeń.** Albowiem każde niepowodzenie podważa wiarę w doskonałość i niezwyciężoność ruchu, stając się przez to dla niego ciosem w serce. Stąd możliwość straszliwych załamań i upadków dla tej niezaprzeczonej potęgi, którą wytwarza totalizm. Stąd także charakterystyczna dla totalizmu dążność do unikania zmierzenia się z przeciwnikiem, który nie jest znacznie słabszy, gdyż wtedy nie grozi najmniejsza porażka; nagromadzenie potęgi przeciw słabości, „zwycięstwo bez wystrzału", jest ideałem tego ruchu. Taka była niemiecka rewolucja narodowo - socjalistyczna z r. 1933, gdy wszyscy przeciwnicy odrazu skapitulowali i takim był podbój dwóch państw w roku 1938 i 1939. Totalizm to siła o stalowych mięśniach i wątłym kręgosłupie.

Ale totalistyczny dynamizm ma inną jeszcze słabą stronę: **niezdolność zatrzymania i ustalania.** Brak zrozumienia dla statyki życia jest właściwością wogóle cywilizacji współczesnej, ale w ruchach totalistycznych ta wada została doprowadzona do ostateczności. Wbrew wszelkiej oczywistości gorączkowa ruchliwość została uznana za źródło siły, chociaż rzeczywistość krzyczy tu poprostu, iż to jest właściwie źródło wyniszczenia siły. Stąd niezdolność do spokojnego dojrzewania i krzepnięcia i stąd także niezdolność do zatrzymania się w pochodzie naprzód i do wyczekiwania odpowiedniej chwili do czynu czy bodaj pozostawienia go następcom.

Potrzeba nieustającego ruchu i nieustającego powodzenia stanowi piętę achillesową totalizmu. Gdy ta potrzeba trafia na silny opór cała potęga zaczyna się chwiać. W przeszłości niemieckiego narodowego socjalizmu znajdujemy bardzo charakterystyczne pod tym względem fakty, zapominane lub niedocenione pod wpływem późniejszych tryumfów ruchu. W roku 1932, a więc tuż przed ostatecznym zwycięstwem, narodowy socjalizm przechodził groźne przesilenie nie było ono spowodowane dwukrotną przegraną Hitlera przy wyborach prezydenta Rzeszy (w marcu i kwietniu), — gdyż ta pozorna porażka była w gruncie rzeczy dla młodego ruchu tryumfem ze względu na wielką ilość głosów, które padły na Hitlera (11 i 12 milionów) oraz ogromny autorytet zwycięskiego kontrkandydata marszałka Hindenburga. Toteż w lipcowych wyborach do Reichstagu narodowi socjaliści zdobywają 230 mandatów (poprzednio 107), stając się najsilniejszą frakcją parlamentarną. Ale w sierpniu Hindenburg odmawia powołania Hitlera na stanowisko kanclerza i wnet głębokie przygnębienie ogarnia masy partyjne. Ponowne wybory do Reichstagu w listopadzie przynoszą partii klęskę (190 mandatów zamiast 230), wkrótce potem zjawia się niebezpieczeństwo rozłamu, które doprowadza Hitlera do myśli o samobójstwie. Tak więc wystarczyło jedno „nie" sędziwego marszałka, aby zachwiać potęgą ruchu politycznego. którym bez przesady można powiedzieć, że wyrósł z wnętrzności narodu niemieckiego.

Mając przed sobą takiego przeciwnika, tylko z otuchą możemy stwierdzić, że w tym okresie historii, który się zaczął w marcu 1939 roku, naród polski ujawnił nie „dynamiczną" gorączkę „czynu", nie nerwowe podniecenie, ale właśnie „statyczną" spokojną, kamienną zaciętość, która jest najpewniejszą podstawą trwałej energii działania. I to naprzekór całej powodzi drukowanego słowa o zbawczości wyłącznego dynamizmu.

Lecz ukryta słabość obok wielkiej rzeczywistej siły nie jest jedynym paradoksem totalizmu. Drugim jest rozsadzenie jedności narodowej obok jednoczenia narodu. I to również wynika w sposób konieczny z istoty totalizmu. Bezwzględne poddanie ruchowi i jego ideologii nie tylko wszelkiej działalności publicznej, ale całego życia narodu, nie wyłączając nauki, sztuki, filozofii i nawet religii [1]), ma właśnie prowadzić do zupełnego zjednoczenia narodu. Ale źródłem tego jednoczenia narodu jest podbój całości narodu przez mniejszość, liczną wprawdzie, ale tylko mniejszość, która przemocą udaremnia ujawnianie się wszelkich odmiennych tendencji, a biorąc w swe ręce wychowanie młodzieży chce w ten sposób przymusowe milczenie zamienić na rzeczywistą jednomyślność. Pozostawiamy na boku kwestję czy ta droga prowadzi do celu i czy całkowite ujednostajnienie fizjognomii duchowej byłoby jego siłą czy też słabością. Ale cokolwiek dalsza przyszłość przynieść może, bezpośredniem następstwem podobnego systemu musi być głębokie wewnętrzne rozbicie narodu, ukryte wprawdzie, lecz bardzo groźne. Dla ogromnej części społeczeństwa system ten oznacza srogi ucisk, często poniewieranie najświętszych uczuć (walka z chrystjanizmem w Niemczech). Pociąga to za sobą straszną nienawiść do panującego ustroju, która w rezultacie stwarza w stosunku do mnóstwa ludzi ciężką próbę dla ich patriotyzmu. Zwłaszcza lekkomyślne przeciwstawienie idei narodowej chrystianizmowi może działać jak najbardziej wyrafinowana propaganda antypatriotyczna. Są to nieuniknione skutki zapomnienia o prawdzie, że Ojczyzna jest bezpartyjna. I te skutki widać już w działalności niektórych niemieckich emigrantów politycznych. Nie chodzi tu o usprawiedliwianie etyczne ich postępowania, ale o stwierdzenia stanu faktycznego.

Nic podobnego nie widać u „wielkich demokracji" (o Polsce mówić tu nie potrzeba). Tam najbardziej zaciekli wrogowie ustroju demoliberalnego, co do zasad zbliżenia do faszyzmu i hitleryzmu nie mają wahań i wątpliwości; obrona Ojczyzny przed wrogiem zewnętrznym góruje absolutnie nad wszystkim. I oto mamy przed sobą godne uwagi zestawienie: rozdarte kłótniami partyjnymi i ideologicznymi społeczeństwo w ustroju demoliberalnym łatwiej zdobywa się na jedność zupełną w obronie Ojczyzny, niż społeczeństwo zostające pod dyktaturą partii nacjonalistycznej. Ale pierwsze uniknęło grzechu przeciw naturze, polegającego na utożsamieniu Ojczyzny z partją, drugie w tym grzechu żyje.

Nie da się zaprzeczyć, iż ustrój demoliberalny i jeszcze więcej swobodnie krzewiąca się w nim ideologia pacyfistyczno-kosmopolityczna poważnie osłabiły potęgę Wielkiej Brytanii i Francji. Na tym właśnie polegała ta wyjątkowo pomyślna dla Niemiec konjunktura, którą Hitler wyzyskał po mistrzowsku; pacyfizm intergralny okazał w całej pełni, że jest wielkim mimowolnym sprzymierzeńcem przemocy. Lecz Hitler okazał się również mimowolnym mistrzem w leczeniu sąsiadów z tak korzystnej dla III Rzeszy słabości. Pod wpływem groźnego niebezpieczeństwa zewnętrznego Francja i Wielka Brytania odzyskały swą siłę. Społeczeństwa francuskie i angielskie oswoiły się w zupełności z myślą o wojnie i to o wojnie na śmierć i życie. A źródłem tego jest patriotyzm bez totalistycznego szaleństwa i totalistycznej gorączki. Idea Ojczyzny okazała raz jeszcze, iż jest niezmierną potęgą w duszy współczesnego człowieka.

---

[1]) Tendencja ta nie występuje z jednakową siłą w Niemczech i we Włoszech. W Niemczech dochodzi do ostateczności, we Włoszech łacińska trzeźwość jest bądź co bądź czynnikiem miarkującym.

[1]) Tu znowu należy zwrócić uwagę na względny umiar faszyzmu włoskiego, który religię pozostawia w spokoju.

NOTATNIK ZAGRANICZNY

Wojna dyplomatyczna

Paryż, 26 czerwca.

(z. d.) Dnia 8 czerwca lord Halifax wygłosił mowę, w której charakteryzował głębokie pragnienie Wielkiej Brytanii dojścia do porozumienia z mocarstwami totalnymi; o tej mowie pisaliśmy w poprzednim Notatniku. W cztery dni potem, widząc, że jego mowa została zrozumiana tu i owdzie jako wstęp do nowej kapitulacji, minister spraw zagranicznych Wielkiej Brytanii znów zabrał głos, podkreślając, że Wielka Brytania mimo pragnienia porozumienia nie pozostanie w żadnym razie bierna wobec napaści. Lord Halifax potwierdził jeszcze raz niezachwianą wolę rządu brytyjskiego lojalnego wypełnienia nowych zobowiązań pomocy dla ofiary napaści.

Mimo tych wyjaśnień następstwa pierwszej mowy nie dały na siebie długo czekać. We Francji jeden z najwybitniejszych intelektualnych przedstawicieli polityki monachijskiej, prof. Joseph Barthelemy, opublikował 11 czerwca w „Le Temps" artykuł, w którym, nawiązując do pierwszego przemówienia lorda Halifaxa, rozwijał myśl, że zamiast się bić i potem rekonstruować Europę, lepiej się nie bić i teraz zaraz zająć się „racjonalną przebudową" naszego kontynentu. Czytając ten artykuł odnosiło się wrażenie, że grupa Francuzów, która nadal jeszcze żyje w atmosferze radosnego upojenia z racji uratowania pokoju Francji kosztem rozbioru Czechosłowacji, zadzwoniła w wielki dzwon po kilku miesiącach przymusowego milczenia, sądząc, że Londyn nagle zmienił decyzję, powziętą po wydarzeniach marcowych i ma zamiar znowu patronować kapitulacji, która uratuje dla Francji jej święty spokój. Prof. Barthelemy musiał przeżyć chwilę gorzkiego rozczarowania, gdy następnego dnia po opublikowaniu swego artykułu przeczytał wyjaśnienia lorda Halifaxa.

W Niemczech, po okrzykach tryumfu, jakimi przywitano pierwszą mowę Halifaxa, nie stracono optymizmu, gdy Halifax wyjaśnił dokładnie sens swego przemówienia. Powiedziano poprostu: „jeden krok w tył po dziesięciu krokach naprzód; tak czy inaczej, Anglia zrobiła dziewięć kroków ku kapitulacji". W ten sam sposób interpretowano mowę Halifaxa w Rzymie, który dziś jest zresztą tylko ekspozyturą Berlina. Natomiast Japonia nie starała się komentować, tylko wyciągnęła odrazu praktyczne konsekwencje z gotowości Anglii do porozumienia: ogłosiła 14 czerwca, a więc w sześć dni po pierwszej mowie Halifaxa, blokadę angielskiej koncesji w Tien-Tsinie. Pomijając ten fakt jawnej agresji, wojska japońskie narażają na dotkliwy szwank prestiż Wielkiej Brytanii na Dalekim Wschodzie, dopuszczając się aktów niesłychanej brutalności wobec obywateli brytyjskich opuszczających koncesję. W opinii kompetentnych czynników we Francji i w Wielkiej Brytanii akcja Japonii w Tien-Tsinie ma w gruncie rzeczy na celu zmuszenie Wielkiej Brytanii do współpracy z Japonią w Chinach na podstawie uznania nowej pozycji Japonii. A więc mowa Halifaxa osiągnęła zamierzony skutek: jedno mocarstwo napastnicze odpowiedziało po swojemu na apel do współpracy!

Blokada Tien-Tsinu potwierdza opinię naszą wyrażoną w poprzednim Notatniku. Wynurzenia w stosunku do notorycznego napastnika na temat gotowości do współpracy z nim, szczególnie gotowości do ustępstw na jego rzecz, zachęcają do napaści bez względu na wszelkie oświadczenia o niezłomnej woli reagowania na napaść. Dość wymówić słowo „ustępstwa", aby napastnik uderzył, sądząc, że jeśli tylko istnieje możliwość ustępstw, to można je równie dobrze wymusić groźbą jak uzyskać w drodze rokowań. Ponieważ droga groźby wydaje się krótsza i odpowiada psychologii napastniczej, więc też słowo „ustępstwa" jest w praktyce zachętą do nowej napaści. Negatywne doświadczenia, uczynione przez Anglików w Tien-Tsinie, potwierdzają się w dodatku przez pozytywne doświadczenia ostatniego incydentu w Swa-Tow: Japończycy zajmują ten port i adresują do komendantów angielskiego i amerykańskiego kontrtorpedowca ultimatum z żądaniem opuszczenia portu. Obaj komendanci odrzucają ultimatum. I cóż się dzieje? Komenda japońska wyjaśnia niebawem, że jej intencje zostały źle zrozumiane. Nie było mowy o żadnym ultimatum, tylko miało miejsce „przyjazne ostrzeżenie". Komenda japońska prosiła uprzejmie okręty angielski i amerykański, aby opuściły port celem uniknięcia ewentualnych incydentów. Nagły objaw przyjaznej troskliwości!

Reasumując, stwierdzimy poraz drugi na tym miejscu, że takie posunięcia jak mowa Halifaxa w dniu 8 czerwca są dla pokoju i spokoju niezwykle szkodliwe. W łonie mocarstw pokojowych dodają odwagi czynnikom, prowadzącym krecią robotę nad przygotowaniem gruntu pod nową kapitulację, mocarstwa napastnicze zachęcają zaś do nowej napaści. Miejmy więc nadzieję, że mowa Halifaxa zostanie wyjaśniona światu nie tylko przez jego dodatkowe oświadczenia, lecz również przez nieustępliwe stanowisko Wielkiej Brytanii w sprawie Tien-Tsinu, jak w każdym innym wypadku agresji.

*

Rokowania Anglii i Francji z Rosją trwają już trzeci miesiąc. W przekonaniu opinii na Zachodzie okres ten jest tak długi, że powstaje przypuszczenie, iż Rosja umyślnie stwarza trudności, aby storpedować rokowania, a móc wobec własnego społeczeństwa twierdzić, że nie ponosi odpowiedzialności za to, że nie bierze udziału we froncie obrony pokoju. To przekonanie opinii na Zachodzie, jeśli opiera się na fakcie domniemanej powolności rokowań, nie jest słuszne. Natomiast istnieją inne powody żeby sądzić, iż Rosja nie jest szczera, gdy twierdzi, że pragnie przystąpić do frontu obrony pokoju.

Rokowania, objektywnie rzecz biorąc, nie są bynajmniej długie. Przedmiot rokowań posiada dla Rosji olbrzymią wagę i jest zarówno politycznie jak strategicznie ogromnie złożony. Byłoby raczej dziwne, gdyby Rosja odrazu, bez namysłu i wahania, przyłączyła się do polityki Anglii i Francji; raczej wtedy można by sądzić, że Rosja działa nieszczerze. Dla porównania warto zwrócić uwagę na to, że sojusz między Niemcami i Włochami jest rezultatem kilkuletnich rokowań i posunięć, mających na celu uzgodnienie celów i metod działania. Gdy zważyć na łączącą Niemcy i Włochy wspólnotę ideologiczną, a z drugiej strony na ideologiczną przepaść, dzielącą Anglię i Rosję, wówczas nie można się dziwić powolności rokowań między Rosją i Anglią. Wrażenie powolności powstaje stąd, że opinia porównywuje rezultaty dyplomacji totalnej, która odbywa się przy całkowitym zachowaniu tajemnicy faktu i celów rokowań, a podaje do wiadomości tylko pozytywne rezultaty, z dyplomacją demokratyczną, która odbywa się na placu publicznym. Rokowania mocarstw totalnych również odbywają się powoli i z oporem, tylko, że o tem się nie mówi, gdyż się tego dokładnie nie wie.

Jeśli więc mogą budzić się wątpliwości co do szczerości oświadczeń rosyjskich dyplomatów o chęci Rosji wzięcia udziału w polityce obrony pokoju, to nie w związku z faktem, że rokowania z Rosją trwają już niemal trzy miesiące. Wątpliwości te mogą powstać dopiero wtedy, gdy przypomnieć sobie ideologiczne i mocarstwowe cele polityki zagranicznej Rosji sowieckiej. Rosja jest dziś jeszcze mocarstwem europejskim, lecz przyszłość Rosji leży nie w Europie tylko w Azji. W kierunku Azji odbywa się ewolucja dzisiejszej Rosji, a Europa ma dla Rosji o tyle znaczenie, o ile jest źródłem niebezpieczeństw dla państwa i ustroju państwowego. Naturalnym celem polityki rosyjskiej jest zabezpieczenie jednego i drugiego przed ewentualną napaścią z zachodu. Stąd dogmatem polityki rosyjskiej jest zrewolucjonizowanie Zachodu, dążenie do obalenia ustroju kapitalistycznego państw europejskich. Wiadomo dobrze, że Rosja już nie może liczyć na osiąg-

nięcie tego celu w warunkach pokojowych, przez akcję klasy robotniczej państw kapitalistycznych. Natomiast wojna w Europie między państwami kapitalistycznymi otworzyłaby dla Kominternu nowe szanse akcji rewolucyjnej na Zachodzie. Polityka Anglii i Francji, której celem jest włączenie Rosji do frontu, mającego zabezpieczyć pokój, jest więc sprzeczna z ideologicznymi założeniami polityki rosyjskiej. Do podobnego wniosku dochodzimy, biorąc pod uwagę zagadnienie bezpieczeństwa Rosji jako państwa. Dla Rosji głównym niebezpieczeństwem są Niemcy. Dopóki Niemcy będą taką potęgą jaką są dzisiaj, Rosja stale będzie musiała liczyć się z ewentualnością ataku z zachodu. Dla Rosji istnieje tylko jedno rzeczywiste rozwiązanie zagadnienia bezpieczeństwa w Europie: zniszczenie potęgi niemieckiej. Anglia i Francja mogą mieć takie same pragnienie, lecz dla nich w obecnych warunkach spełnienie tego pragnienia byłoby możliwe tylko w ten sposób, że wespół z sojusznikami Anglia i Francja same musiałyby zniszczyć Niemcy, musiałyby się bić i ponieść wszystkie ofiary wojny, na co bynajmniej nie mają ochoty. Rosja natomiast może widzieć w dzisiejszej sytuacji międzynarodowej szanse wojny, w której sama pozostałaby neutralna, inne zaś mocarstwa, walcząc we własnej obronie, zniszczyłyby Niemcy. Rosja może więc dziś widzieć swój żywotny interes nie w przystąpieniu do frontu obrony pokoju przed Niemcami, lecz naodwrót—w zawarciu z Niemcami porozumienia, które by ośmieliło je do ataku na państwa zachodnie lub ich wschodnich sojuszników, gdyż Rosja ma powody sądzić, że nawet bez jej pomocy alianci pokonają mocarstwa osiowe.

Rosja może jednak uznać, że bez jej pomocy alianci nie pokonają Niemiec i Włoch, szczególnie, gdy do osi Berlin — Rzym dołączy się Japonia. W takim razie Rosja, nie chcąc pozostać po ewentualnej wojnie sam na sam ze zwycięskimi i uwolnionymi od niebezpieczeństwa Niemcami i Japonią, musiałaby przyłączyć się obecnie do grupy aliantów. Lecz i w tym wypadku interes Rosji nie byłby a priori zgodny z interesem aliantów, którzy mogą wybrać drogę układu z Niemcami. Układ taki ugruntowałby definitywnie potęgę Niemiec i ich pokojowe stosunki z mocarstwami zachodnimi. Nie jest natomiast pewne, czy doprowadziłby do ułożenia stosunków między Rosją i Niemcami w sensie dla Rosji korzystnym. Rosja może żywić słuszne obawy, że polityka obrony pokoju doprowadzi w ostatecznym rezultacie do kompromisu między osią Berlin — Rzym i osią Londyn — Paryż kosztem interesów rosyjskich. Jeżeli więc Rosja ma się przyłączyć do pokojowej polityki anglo-francuskiej, to w jej interesie leży conajmniej uzyskanie możności wywołania wojny w chwili, gdy Rosja uzna, że sprawy zaczynają się rozwijać w kierunku jakiegoś układu, mającego dojść do skutku kosztem Rosji. Takim środkiem natychmiastowego wywołania wojny może stać się gwarancja państw bałtyckich, pojęta w taki sposób, w jaki ją pojmuje dyplomacja rosyjska. Sprawa państw Bałtyckich jest punktem, w którym interesy Rosji i mocarstw zachodnich są najbardziej rozbieżne. Dla Anglii i Francji państwa Bałtyckie są jednym z powodów polityki obrony pokoju, dla Rosji głównym środkiem, mającym dać jej możność wywołania wojny powszechnej.

Gdy rząd angielski pod naporem własnej opinii publicznej zwrócił się do Rosji z zaproszeniem do przystąpienia do frontu obrony pokoju udał się pod fałszywy adres. W istocie, interesy Rosji stawiają ją po stronie tych państw, które pragną niedopuścić do dalszego wzrostu potęgi niemieckiej. Lecz jeśli w chwili obecnej interesy Anglii na tym się kończą, to interesy Rosji tutaj dopiero się zaczynają, a kończą się tam, gdzie Niemcy mają być zniszczone. Dla Rosji przystąpienie do frontu hamowania dalszego wzrostu potęgi Niemiec byłoby rozpoczęciem polityki, która z punktu widzenia jej interesów nie miałaby być doprowadzona do końca. Przystąpienie Rosji do polityki obrony pokoju byłoby zaś przystąpieniem do polityki sprzecznej z jej interesami ideologicznymi. Jeśli więc Rosja zawrze układ z Anglią i Francją, to trzeba będzie poważnie liczyć się z tym, że prędzej czy później Rosja może chcieć sprowokować wojnę.

*

W związku z trudnością dojścia do porozumienia z Rosją nabiera szczególnego znaczenia układ francusko - turecki podpisany 23 czerwca w Paryżu. Układ ten otwiera na wypadek wojny drogę flocie wojennej i statkom handlowym francuskim z ładunkiem wojennym przez Cieśniny Tureckie na Morze Czarne, to znaczy do Rumunii, a dalej Polski. Znaczenie tego układu jest jednak w pierwszym rzędzie polityczne, dotyczy polityki francuskiej na Bałkanach. Francja powraca do swej tradycji zaczętej przez współpracę z Małą Ententą. Turcja przejmuje na Bałkanach dawną rolę Czechosłowacji nad Dunajem.

Turcja jest członkiem Ententy Bałkańskiej. Ugrupowanie to miało m. in. za zadanie przeciwstawić się opanowaniu Bałkanów przez Niemcy i Włochy. Lecz dziś filar Ententy, Jugosławia, dobrowolnie oddaje się zamaskowanemu protektoratowi politycznemu, a otwartej zależności gospodarczej od tych mocarstw. W czasach, kiedy istniała Czechosłowacja, a Jugosławia oddana była całkowicie celom Ententy Bałkańskiej, Francja rysowała w Europie Południowo-Wschodniej linię obrony przed Niemcami i Włochami, która szła przez Belgrad i Pragę do Warszawy, potem do Moskwy. Dziś ta linia defensywna jest bez porównania dłuższa: przechodzi przez Ateny, Konstantynopol i Bukareszt, osiągając Warszawę i starając się osiągnąć Moskwę. Wymieniamy tu umyślnie Konstantynopol. a nie stolicę Turcji Ankarę, gdyż układ francusko-turecki, w związku z rolą, jaką przypisuje Turcji na Bałkanach, stwarza z niej państwo na równi azjatyckie jak europejskie. Jeśli ten układ wyda spodziewane owoce, Konstantynopol zacznie odgrywać ważną rolę ośrodka promieniowania Turcji na Bałkany, stanie się niejako jej drugą, europejską stolicą.

Układ francusko-turecki, dając Turcji do odegrania dominującą rolę na Bałkanach, stawia bardzo poważne problemy przed Jugosławią. Jej rola polityczna, przeznaczona jej przez położenie geograficzne, jest to rola kierownika ugrupowania państw bałkańskich. Układ francusko - turecki, złączony z rozwojem stosunków między Francją i Rumunią, oparty o układ anglo-turecki i zobowiązania Anglii wobec Rumunii i Grecji, może niebawem wytworzyć warunki, w których Jugosławia straci bezpowrotnie na rzecz Turcji możność odegrania pierwszoplanowej roli w grupie bałkańskiej. W takich warunkach Jugosławia zostałaby skazana na wybór między zupełnym poddaniem się gospodarczym i politycznym osi Berlin—Rzym lub powrotem po niewczasie do ugrupowania bałkańskiego, w którym nie odgrywałaby już pierwszorzędnej lecz drugorzędną rolę. Pomijając więc inne zalety nowego układu zawartego w ramach frontu obrony pokoju, stwarza on warunki, które mogą, a nawet powinny skłonić Jugosławię do niezwłocznego definitywnego przechylenia się na stronę przeciwną totalnej osi. W sytuacji, jaka zaczyna się wytwarzać na Bałkanach, Jugosławia nie będzie już mogła kontynuować swej polityki wyczekiwania i pozornego nie angażowania się po żadnej stronie.

Jednym słowem polityka Francji na Bałkanach, zainicjowana układem z Turcją, wykorzystuje chwilę faktycznego rozbicia Ententy Bałkańskiej i usiłuje stworzyć nowy blok bałkański pod przewodnictwem Turcji. Rumunia, jak widać wyraźnie z rezultatów podróży min. Gafenco do Ankary oraz Aten, oraz Grecja, współpracują aktywnie nad tworzeniem nowego bloku. Jugosławia postawiona jest w sytuacji, w której albo będzie wręcz zmuszona przystąpić do tego nowego bloku, albo też oddać się we włosko-niemiecką, raczej jednostronnie niemiecką niewolę. Pod znakiem zapytania znajduje się jeszcze stanowisko Bułgarii. Nie wiadomo czy Bułgaria istotnie będzie chciała odegrać rolę tarana, mającego rozbijać nowy blok bałkański, czy też pozostanie neutralna, wyczekując chwili, kiedy uda się jej zaspokoić częściowo rewindykacje drogą pokojową, przez porozumienie z Rumunią i Grecją. Można liczyć na to, że przykład Turcji, która drogą porozumienia odzyskała suwerenność nad Cieśninami oraz Alexandretą, zachęci Bułgarię do szukania porozumienia z nowym blokiem bałkańskim. Trudno uwierzyć, żeby Bułgaria poraz drugi poszła całkowicie wespół z Niemcami.

*

Do jakiego stopnia zachodni politycy kierują się jeszcze złudzeniami, może świadczyć przemówienie, wygłoszone na

jednym z posiedzeń Komisji spraw zagranicznych Senatu francuskiego przez byłego premiera Lavala, w którym dowodził, że polityka francuska powinna dążyć wszelkimi siłami do odciągnięcia Włoch od Niemiec. Przejawem innego rodzaju złudzeń jest powstające w Anglii biuro informacyj politycznych, czyli innymi słowy placówka propagandy w państwach totalnych; tutaj widać nadzieję, że uda się wbić klin, względnie pogłębić istniejące rozbieżności, między narodem a kierownictwem politycznym w Niemczech i we Włoszech. Wedle niektórych komentatorów głównym celem zapewnień Halifaxa i Chamberlaina o gotowości Anglii do ustępstw i wpłynięcia na ustępliwość innych państw w razie, gdyby państwa totalne zaprzestały polityki gwałtów i zgodziły się przyjść do stolika dyskusyjnego, miało być właśnie zachwianie wiary w społeczeństwach włoskim i niemieckim w słuszność polityki obu dyktatorów. Nie da się niewątpliwie zaprzeczyć użyteczności wszelkiej propagandy, a więc i nowych wysiłków propagandowych Anglików, jak np. polityczne audycje radiowe w języku niemieckim. Lecz wydaje się nam, że nadzieja na rozłączenie mas hitlerowskich od kierownictwa jest równie płonna jak była nadzieja na odłączenie Włoch od Niemiec, od chwili, kiedy pozwolono Niemcom dokonać wielkich zdobyczy, a Włochom robiono trudności na każdym kroku gdzie tylko się ruszyły. W każdym zaś razie roztaczanie przed narodem niemieckim lub włoskim miraży ustępstw, pod warunkiem, żeby tylko ich kierownicy byli „grzeczni", nie jest skutecznym środkiem w tej robocie rozdzielającej. Efekt powinien być raczej odwrotny, gdyż w obecnym nastroju panującym w Niemczech i we Włoszech człowiek ulicy i głośnika tłumaczy sobie gotowość Anglii do ustępstw i dyskusji w atmosferze pokojowej — tak samo jak i przywódcy — jako brak gotowości Anglii do przeciwstawienia się aktom wojennym. Taka propaganda, jaką niekiedy robią Halifax i Chamberlain, może tylko pogłębić przekonanie mas w państwach totalnych, że trzeba nadal naciskać na Anglię. Propaganda ta może więc tylko przyczynić się do wzmocnienia więzów między społeczeństwem, które czeka na rezultaty ustępstw Anglii, a dyktatorem, który Anglii na każdym kroku grozi.

Adam Andrzejewski

Zagadnienie blokady gospodarczej Niemiec

W jednym z ostatnich numerów „Narodu i Państwa" w zakończeniu artykułu na temat blokady gospodarczej Niemiec w czasie wojny światowej wyraziłem się, że warunki do przeprowadzenia blokady Niemiec w chwili obecnej są znaczenie pomyślniejsze niż w r. 1914, gdyż uderzyłaby ona w organizm gospodarczy pomimo pozorów znacznie mniej na izolację odporny. Oczywiście trudno w krótkim artykule wszechstronnie omówić i przeanalizować to zagadnienie. Można raczej przykładami typowymi dla dzisiejszej rzeczywistości Trzeciej Rzeszy zarysować niektóre fragmenty i poprzeć nimi tezę, wiążącą się nietylko z całokształtem zagadnień jej gospodarczej struktury i geograficznego położenia, ale i z wszystkimi prawie elementami układu politycznych stosunków, które panują dziś na świecie.

Zacznijmy od spraw aprowizacyjno-żywnościowych. W „Franfurter Zeitung" z dnia 7 czerwca b .r został zamieszczony obszerny artykuł na te tematy; poświęcony zapewne wewnętrznej opinii niemieckiej, która ma uspokoić i przekonać ,iż sytuacja na tym odcinku nietylko nie przedstawia się źle, ale układa się lepiej niż w latach bezpośrednio przedwojennych, dzięki oczywiście postępom polityki autarkicznej reżimu hitlerowskiego. Nie docenianie i lekceważenie osiągnięć paru lat ostatnich nie ma oczywiście żadnego uzusadnienia. Są one w wielu konkretnych punktach bardzo istotne. Nie mniej nie należy zapominać, iż punkt startu był niski i że w tych warunkach nie zmieniły one w sposób zasadniczy układu warunków, gorszego dziś znacznie niż latach 1912 czy 1913.

Pozornie tylko przeczy temu zamieszczona w wspomnianym artykule „Frankfurter Zeitung" tabela, ilustrująca ewolucję przywozu artykułów aprowizacyjnych do Niemiec, na podstawie której możnaby wnioskować iż jest on w r. 1938 dwukrotnie prawie niższy niż w ostatnim roku przed Wielką Wojną:

Przywóz środków spożywczych do Niemiec w miln. RM.

	Zwierzęta żywe	Artykuły spożywcze		Używki	Ogółem
		pochodzenia zwierzęcego	pochodzenia roślinnego		
1913	290	906	2453	462	4111
1933	31	432	870	296	1630
1938	113	479	1172	347	2111

W rzeczywistości bowiem spadek ten spowodowany był obniżeniem się ogólnej wartości obrotów w handlu zagranicznego, a nie zmiejszeniem wielkości przywozu, który w por. z r. 1913 wykazał wagę tylko o 10% mniejszą, podczas gdy wartość jego wynosiła 50% sumy z okresu porównywawczego. Przemawiają za tym zresztą cyfry poddawane często przez publicystykę niemiecką, a obejmujące stopień zaopatrzenia Niemiec w artykuły żywnościowe pochodzenia krajowego. Według źródeł narodowo-socjalistycznych ewolucja samowystarczalności aprowizacyjnej przedstawia się następująco:

1913 r.	1932/33	1937/38
80%	75%	82%

Przy mniej więcej tej samej liczbie ludności — cyfry z r. 1932 i 1938 dotyczą „starych" Niemiec, bez Austrji, Czech, Moraw i Sudetów — spadek przywozu artykułów żywnościowych o połowę miałby przynieść poprawę w zaopatrzeniu tylko o 2%? Zresztą te właśnie procentowe wskaźniki samowystarczalności budzą zasadnicze zastrzeżenia, jako zbyt optymistyczne.

*

W latach poprzedzających Wojnę Światową Niemcy musiały coprawda sprowadzać pszenicę, gdyż własne zbiory nie pokrywały wzmagającej się wraz z wzrostem dobrobytu konsumcji tego zboża, miały natomiast nadwyżkę eksportową żyta, tak iż w rezultacie można było mówić o zrównoważeniu bilansu chlebowego. Średnia roczna produkcja obu tych zbóż wynosiła w pięcioleciu 1909 - 13 — 15,2 milionów ton, średnie spożycie również mniej więcej tyleż. W pięcioleciu 1931 - 35 zbiory pszenicy i żyta wyniosły razem 12,6 milionów ton, w r. 1936—11,8, w 1937 11,6 miln. ton, podczas gdy ludność Niemiec, jak już wyżej wspomnieliśmy, wynosiła prawie tę samą liczbę co przed wojną, a nawet nieco wzrosła z 67,0 milionów na 67,8 miln. w 1937. Oczywiście wpływ na tak znaczne pogorszenie się warunków miało przede wszystkim odłączenie od Niemiec zbożowych okręgów wielkopolskich i pomorskich.

Jeszcze wyraźniej uwypukla się charakter przemian, jakie zaszły w gospodarce rolniczej Niemiec, jeśli przeliczymy produkcję podstawowych upraw na głowę ludności. Cyfry, które niżej przytaczamy, pochodzą zresztą ze źródeł niemieckich:

Wytwórczość rolna w kg. na głowę ludności.*)

	1910-1914	1931-1935	1936
żyto	169	119	110
pszenica	69	73	67
ogółem zboża	417	345	325
kartofle	691	690	688
buraki cukrowe	228	162	180
siano	407	357	413

Jak widać, jedynie zbiory kartofli utrzymują się regularnie prawie na tym samym poziomie. Niekorzystna ewolucja stosunków produkcyjnych w rolnictwie ma swoje uzasadnienie w zmniejszeniu się powierzchni użytków rolnych przypadających na 1 mieszkańca. Z 0,52 ha w okresie przed Wielką Wojną spadły one do 0.43 ha w 1937, w ostatnim roku wzrosnąć nie mogły, raczej przyjąć można ich lekki spadek ze względu na kolosalne rozmiary prac fortyfikacyjnych. Również maleje liczba ludności rolniczej.

Nieco lepiej niż na odcinku roślinnym przedstawia się porównanie lat ostatnich z r. 1913 jeśli idzie o gospodarkę hodowlaną; i tu jednakże występuje osłabienie potencjału produkcyjnego. Pogłowie bydła w r. 1937 było o 500 tysięcy, a trzody chlewnej o 1,8 milj. sztuk miejsze niż bezpośrednio przed Wojną Światową, ilość owiec zmniejszyła się o 800 tysięcy, kóz o bez mała milion, choć rozwój hodowli Niemiec przedwojennych okazał się niewystarczającym dla zapotrzebowania ludności w l. 1914 — 18. Nie została również zmieniona w sposób zasadniczy, pomimo b. wielkich wysiłków kierowników gospodarki Trzeciej Rzeszy, sytuacja na odcinku pasz, gdzie niedobór nadal jest b. znaczny, co zaciążyć musi b. mocno nad stanem pogłowia w wypadku odcięcie dostaw.

Jeśli zwiększone trudności Niemiec na odcinku aprowizacji żywnościowej wynikają przede wszystkim z obniżenia się możliwości produkcyjnych, kłopoty zaopatrzenia surowcowego mają źródło w intensywnym rozwoju gospodarki niemieckiej oraz zwiększonym znaczeniu szeregu surowców, których Trzecia Rzesza nie posiada. Zasadniczych bowiem „obiektywnych" zmian w sytuacji surowcowej Niemiec między r. 1913 z okresem obecnym nie ma. — Nadal pracują one w przeważającej części na surowcach zagranicznych, mając pod dostatkiem jedynie węgla. Inne są natomiast ich potrzeby, wyznaczane stopniem dynamiki gospodarstwa niemieckiego i światowego.

Najbardziej może typowym przykładem zachodzących w tym kierunku procesów jest kwestia zaopatrzenia przemysłu hutniczego w rudy żelazne. W r. 1913 produkcja stali w Niemczech wynosiła ok. 14,5 miln. ton. Deficyt rud żelaznych dla tej produkcji wyniósł około 14,0 miln. ton. Tyle przeciętnie sprowadzano z zagranicy w ostatnich latach przedwojennych. W r. 1937 wytwórczość stali wzrosła do 19,8 miln. ton, a w r. 1938 do 23,2 miln. ton (już łącznie z Austrią). Równolegle z tym wzrósł przywóz rudy, której importowano 20,6 miln. ton! Z tych samych względów zwiększył się w porównywanym okresie:

więcej niż o 50% przywóz miedzi, rud miedzianych o 25%, i szeregu innych metali kolorowych.

Równocześnie, jak już wspomniałem, wzrosła waga gatunkowa szeregu surowców, których znaczenie w latach przedwojennych było bez porównania niższe. Problem benzyny i innych lekkich materiałów pędnych nie miał tak kluczowego znaczenia dla możności prowadzenia operacji militarnych jak dziś. Tempo rozwoju potrzeb na tym odcinku charakteryzuje fakt, iż już w okresie pierwszych 4 lat rządów Hitlera, kiedy program motoryzacji nie był jeszcze tak szeroko realizowany, zużycie lekkich materiałów pędnych wzrosło o 62%, a deficyt, który trzeba było uzupełnić importera, wzrósł mimo wysiłków rozwinięcia produkcji zastępczych i wzrostu wydobycia ropy krajowej z 435 tys. t. do 1.135 tys. ton, choć zaspakajano w owym czasie wyłącznie potrzeby „pokojowe", znacznie skromniejsze w tym zakresie niż wojenne. W porównaniu z r. 1913 przywóz olei mineralnych wzrósł czterokrotnie. Podobnego jak ropa naftowa i jej pochodne znaczenia nabrał szereg innych surowców z kauczukiem (350% wzrostu w por. z r. 1913) i bauxytem na czele.

W tych warunkach wniosek, iż sytuacja Niemiec w zakresie zaopatrzenia surowców przemysłowych w por. z r. 1913 uległa pogorszeniu, narzuca się zupełnie wyraźnie. Nie zmieni go nawet pozytywna ocena szeregu wysiłków techniki i nauki niemieckiej w zakresie produkcji namiastek i używania surowców zastępczych. Nie mogą bowiem Niemcy opierając się w zasadzie z małymi tylko zmianami na tej samej podstawie co przed Wojną Światową, przeciwstawić się dynamice procesów produkcyjnych panujących zarówno w Niemczech, jak i na całym świecie, i zahamować wzrostu coraz to nowych potrzeb, których zaspokojenia trzeba szukać poza granicami własnego państwa.

Operując szeregiem przykładów, ograniczaliśmy się zazwyczaj do porównania cyfr dotyczących obszaru Niemiec z r. 1937, a więc przed aneksją Austrii, Sudetów i Czech. Jeśli idzie o zmiany terytorialne, scharakteryzowaliśmy jedynie ujemny wpływ, jaki wywarło na produkcję Niemiec wyodrębnienie z ich powojennych granic Poznańskiego i Pomorza. Jaki wpływ na zwiększenie bazy aprowizacyjnej i surowcowej Trzeciej Rzeszy miały kolejne jej zdobycze? Po każdym z sukcesów Hitlera ukazywały się w prasie specjalnej i codziennej długie zestawienia plusów i minusów gospodarczych związanych z włączeniem do obszaru Niemiec nowych terytoriów. Sumując je niesposób jest nie stwierdzić, iż przyczyniły się one w rezultacie do powiększenia ilości potrzeb, które muszą być pokrywane importem. Ilustruje to twierdzenie porównanie przywozu z zagranicy na teren „dawnych" Niemiec z całością przywozu w r. 1938:

Artykuły przywozu	Import w r. 1938 w milj. RM.	
	„Dawne" Niemcy	Wielkie Niemcy
1. Zwierzęta żywe	113,0	186,8
2. Żywność pochodz. zwierzęcego	479,0	508,7
3. Żywność pochodz. roślinnego .	1171,8	1332,7
4. Używki	346,9	365,1
Razem artyk. żywnościowe	2110,7	2393,3
5. Surowce	1849,8	1991,4
6. Półfabrykaty	1041,0	1139,8
7. Wyroby gotowe	396,7	476,2
Razem cały przywóz . .	5449,3	6051,7
Saldo obrotów	—192,4	—432,6

Przywóz artykułów żywnościowych wzrósł o ok. 280 milj. RM, surowców o ok. 150 milionów, zwiększył się również deficyt bilansu handlowego o 240 milj., choć anschluss Austrii „grał" dopiero niecałe 10 miesięcy, a Sudetów 3 miesiące. Struktura ekonomiczna krajów zaborczych zbliżona jest typem do struktury „macierzy", włączenie ich to nietylko komasacja terytoriów, ale też komasacja braków i niedomagań:

Wielkie Niemcy z 1939 r., jeślibyśmy chcieli mówić kategoriami roku 1914, przypominają Mocarstwa Centralne z jeszcze bardziej rozbudowanym ich potężnym trzonem przemysłowym, wymagającym więc zwiększonych dostaw surowców, a bez tych wszystkich krajów i prowincji, leżących na wschodnich i południowo-wschodnich peryferiach, które mieszkańcom wielkich miast handlowych i przemysłowych dostarczały wyżywienia. Nawet gdybyśmy Węgry i Słowację praktycznie do tego obszaru włączyli, zrównoważy to tylko częściowo utracone uprawne pola i wsie należące dziś do Polski, Rumunii czy Jugosławii.

Braki surowcowe mogą być w znacznej mierze powetowane przez odpowiednie zorganizowanie dostaw w czasie wojny. W tym wypadku jednak położenie Trzeciej Rzeszy, tak dogodne pod względem strategicznym, przy odpowiednim układzie sił przeciwników prowadzących blokadę, staje się zarodkiem trudności i ułatwia całkowitą izolację. Nie będziemy tutaj porównywać obecnej sytuacji Niemiec pod tym względem z ich położeniem w czasie Wojny Światowej, zaprowadziłoby to nas w dziedzinę politycznej i militarnej strategii. Nie sposób jednak nie zwrócić uwagi na nowy i niezwykle zasadniczy element, jaki do obecnego układu stosunków wniósł udział Turcji po stronie dawnej Entente Cordiale, a dzięki której poprzez pomost bałkański miały Mocarstwa Centralne w latach 1914 — 1918 ułatwione wyjście na odległe rynki światowe.

Nie wdając się w dalsze rozważania na te tematy, zwrócimy raczej uwagę na inny element organizacyjny dostaw surowcowych, mianowicie na źródła zakupu importerów niemieckich. Według danych z r. 1937 procentowy udział poszczególnych państw, które zostały podzielone na kilka grup, w przywozie do Niemiec przedstawiał się następująco:

---

*) Bente — „Landwirtschaft und Banerntum" 1937

A. Polska, Z.S.S.R., Rumunia, Turcja, Grecja, Anglia, Francja, ich kolonie i dominia	30,5%
B. Stany Zjednoczone (5,2%) i państwa Ameryki południowej	19,5%
C. Państwa Skandynawskie i Nadbałtyckie	11,5%
D. Belgia, Szwajcaria i Holandia wraz z koloniami	13,1%
E. Jugosławia, Bułgaria	3,7%
F. Włochy, Węgry, Hiszpanie, Japonia	10,1%
G. Inne	11,6%

Jeszcze bardziej jaskrawo występuje uzależnienie Niemiec od dostaw pochodzących z państw im niechętnych, jeśli weźmiemy szereg zasadniczych surowców i zbadamy je oddzielnie. Okaże się wówczas, iż około 50% przywozu zbóż, olejów, nasion oleistych i tłuszczów, ok. 50% przywozu bawełny, rudy żelaznej, ołowianej, cynkowej, chromu i niklu, dalej od 50 — 75% importu wełny, olei mineralnych, aluminium, 90% kauczuku, 85% rudy manganowej, 80% miedzianej, 100% niklowej itd. itd. — sprowadzały w r. 1938 Niemcy z krajów i posiadłości angielskich, francuskich, holenderskich, belgijskich, Stanów Zjednoczonych, Polski i Z. S. S. R.

Jeśli idzie o tak ważny surowiec jak rudy żelazne, ponad 45% przywozu Niemiec pokrywają w chwili obecnej Imperium Brytyjskie, Francja oraz Belgia z koloniami. One też dostarczają 90% złomu i surówki!

Mnożenie dalszych przykładów wydaje się zbyteczne. — Trudności Niemiec, jakie wynikną z jednej strony z konieczności zapewnienia sobie nowych dostawców w miejsce tych, którzy znajdą się w obozie przeciwnym, z drugiej z zorganizowaniem dostaw, które by przecisnęły się poprzez krąg ew. blokady, zarysowują się dostatecznie jasno. Nie będziemy tutaj porównywać poszczególnych pozycji przywozu z r. 1913 i 1938. W niektórych, jak np. w odniesieniu do rudy żelaznej, nastąpiło zdecydowane przesunięcie na niekorzyść jeśli idzie o źródła zakupów, w innych spotyka się czasem poprawę na lepsze. Ogólnie rzecz biorąc zasadniczych zmian nie ma. Ale brak zmian oznacza również pogorszenie położenia Niemiec dzisiejszych — potrzeby wzrosły bowiem ilościowo, a czym są one większe, tym zaspokojenie ich w warunkach blokady jest trudniejsze!

Porównując zaopatrzenie surowcowe Niemiec w r. 1913 i 1939 używałem tylko barw ciemnych, pomijając te odcinki gospodarki niemieckiej, w których, jak np. choćby w zakresie produkcji krajowych surowców włókienniczych, uwidacznia się dość znaczna poprawa. Czyniłem to celowo, będąc przekonany, iż pomimo tych czy innych bardziej efektownych fragmentów, generalne linie rozwoju w wyniku zespołu najróżnorodniejszych przyczyn, których część tylko nieznaczną można było uwzględnić w rozważaniach, postawiły Trzecią Rzeszę w warunkach znacznie trudniejszych, niż te w których znajdowały się Niemcy wilhelmowskie.

Najlepszym bodajże sprawdzianem, że obraz zarysowany nie jest zbyt pesymistyczny i subiektywny, jest ewolucja polityki surowcowej Niemiec, jaką można zaobserwować w ciągu ostatnich dwu lat. Nie zaniedbując prac nad autarkizacją, Trzecia Rzesza zaczęła gwałtownie zwiększać swój import, gromadząc zapasy surowców i środków żywności. One mają przezwyciężyć braki wynikłe z posiadanej struktury gospodarczej i z położenia gospodarczego, one staną się podstawą dla rygorystycznej i przemyślanej zawczasu gospodarki wojennej. Tych elementów przewidywania i organizacji lekceważyć nie można, ale nie można i przeceniać. Największą ich wadą jest to, iż zarówno zapasy, jak i niezbędny czynnik organizacji — ludzka odporność psychiczna, mają zawsze swój kres, zwłaszcza gdy zawiodą koncepcje strategiczno - militarne, oparte o wielki, ale krótkotrwały wysiłek i gdy pierwsze miesiące walki nie wyrąbią drogi do surowców południowo-wschodniej Europy.

NA MARGINESIE

Jeszcze o izbach rolniczych w woj. południowo-wschodnich

(a. k). Poruszona nawiasowo w poprzednim numerze sprawa stworzenia odrębnych izb rolniczych w Stanisławowie, Tarnopolu i Lwowie jest nadal przedmiotem ożywionej polemiki. Sprawa ta zasługuje na kilka słów również i merytorycznej dyskusji.

Na razie zajmiemy się stroną gospodarczą.

W obecnej chwili teren województw: lwowskiego, stanisławowskiego i tarnopolskiego objęty jest działalnością lwowskiej Izby Rolniczej. Według przepisów rozporządzenia o izbach rolniczych stan taki jest dopuszczalny w wyjątkowych, usprawiedliwionych postulatami gospodarczymi, wypadkach. Normalnie mamy izby obejmujące swą działalnością teren jednego województwa.

Jakie postulaty gospodarcze mogą przemawiać za istnieniem jednej izby rolniczej dla trzech województw południowo-wschodnich? Mogłyby być brane pod uwagę dwa względy: jednolite interesy gospodarcze rolnictwa na terenie trzech województw oraz niemożliwość ponoszenia kosztów utrzymania odrębnych izb rolniczych spowodu wyjątkowo ciężkiego stanu materialnego rolnictwa na tym terenie.

Pobieżna chociażby znajomość województw południowo wschodnich wystarczy dla stwierdzenia, że o jednolitości interesów rolnictwa na całym obszarze Ziemi Czerwieńskiej mówić nie można.

Wystarczy zwrócić uwagę na zasadnicze różnice w ustroju rolnym między województwami tarnopolskim a woj. lwowskim (szczególnie w zachodnich jego powiatach).

Gdy w woj. tarnopolskim struktura rolna jest stosunkowo zdrowa — w zachodnich powiatach woj. lwowskiego rozdrobnienie własności rolnej dochodzi do katastrofalnych rozmiarów. Ale też powiaty te znajdują się w bezpośrednim zasięgu wpływów Centralnego Okręgu Przemysłowego i na tym głównie będą musiały budować swą przyszłość.

Jeszcze w innych warunkach gospodarczych znajdują się okolice podgórskie i górskie.

Samorząd rolniczy ma reprezentować interesy poszczególnych regionów i troszczyć się o ich rozwój gospodarczy. Wobec zasadniczych różnic w warunkach gospodarczych poszczególne tereny ziem poł.-wschodnich wymagają różnych metod pracy, różnych planów i różnych środków. Ta różnorodność może znaleźć swój wyraz i uwzględnienie w pełni jedynie w odrębnych izbach rolniczych.

A weźmy teraz ewentualny wzgląd drugi — niezdolność finansową danego terenu do utrzymania własnej izby rolniczej. Wystarczy wskazać że takie tereny jak Polesie, czy woj. białostockie mają własne izby rolnicze. Pochodzi to stąd, że przy dyskusji na tematy gospodarcze na plan pierwszy muszą być wysuwane względy inne: właśnie konieczność należytego uwzględnienia odrębnych interesów i konieczność należytego obsłużenia terenu przez personel izby. Izba, obejmująca 55 powiatów, nie może rolnikom zapewnić dostatecznej opieki ani też nie jest w stanie utrzymać z nimi kontaktu, koniecznego dla nadawania kierunku pracy rolniczej.

I to — jeżeli chodzi o względy gospodarcze — jest chyba najistotniejszy moment dyskusji.

R. Szymański

Kuszenie Wincentego Witosa

„Kurier Poranny“ postawił pytanie dlaczego właśnie do Witosa a nie do kogo innego zwróciło się Gestapo czy też Auswärtiges Amt z propozycjami „współpracy“.

Na pytanie to nie znaleźliśmy dotychczas — mimo żywiołowej i długotrwałej, często dość nieprzyjemnej, polemiki — nigdzie dostatecznie jasnej i przekonywującej odpowiedzi.

A kwestia jest niewątpliwie bardzo ważna, bo każdy przecie rozumie, że w sprawie Witosa nie chodzi tylko o samego Wincentego Witosa, ale o wiele istotniejsze kwestie, mające zasadnicze znaczenie dla całego Państwa.

Te względy spowodowały też nas do zebrania głosu w tej sprawie, przyczym z góry zaznaczamy, że nie chcemy do sprawy tej podchodzic od strony personalnej, chodzi nam jedynie o jej istotne podłoże z punktu widzenia całości dzisiejszego układu stosunków pomiędzy Polską i Niemcami.

A więc Rząd niemiecki zwrócił się do Witosa z propozycjami.

Postarajmy się przede wszystkim odpowiedzieć na zasadnicze pytanie dlaczego rząd niemiecki uznał w ogóle za możliwe i pożądane wystąpić pod adresem jednego z polskich mężów stanu z tego rodzaju propozycjami.

Kuszenie Witosa przypada, jak wiadomo, w okresie finalizowania przez Niemcy rozgrywki z Czechosłowacją, na której obszarze Wincenty Witos zatrzymał się po wyjeździe z kraju i do której, jak wiadomo, czuł wielki sentyment i szacunek.

Rozgrywka Niemiec w stosunku do Czechosłowacji — jak to już obecnie jest powszechnie wiadome — polegała przede wszystkim na rozbijaniu Czechosłowacji od wewnątrz. Dążąc do tego celu Niemcy dokładali wszelkich sił, aby pobudzić mniejszości narodowe w Czechosłowacji przeciwko Pradze, co im się też w całej pełni udało. Akcja rozbijania sił oporu antyniemieckiego w Czechosłowacji nie ograniczyła się jednak do mniejszości narodowych. Niemniejszą wagę Rzesza niemiecka przywiązywała również do sprowadzenia rozbicia śród samych Czechów. W tym celu rząd niemiecki przeprowadził akcję zwerbowania poważnego odłamu społeczeństwa czeskiego, mianowicie partii agrariuszów, przeciwko prezydentowi Beneszowi, uzyskania jej dla koncepcji porozumienia z Niemcami.

Kuszenie agrariuszów czeskich przez rząd niemiecki trwało od dłuższego już czasu. Odbywało się przy pomocy następujących mniej więcej argumentów.

Czechosłowacja jest krajem o rozwiniętym rolnictwie, przemyśle, przede wszystkim jednak krajem wspaniale rozwiniętego gospodarstwa rolniczego wielkochłopskiego. Poziom rolnictwa czeskiego był naprawdę godny zazdrości. Posiadając urodzajną glebę i wspaniale rozwinięte zdolności organizacyjne, rolnictwo czeskie miało wszelkie naturalne warunki do dalszego rozwoju, tym bardziej, że posiadało ono wokół siebie wspaniałe rynki zbytu nietylko w samych miastach czeskich ale również w wiecznie głodnej Rzeszy niemieckiej.

Warunki dalszego rozwoju przemysłu czeskiego, aczkolwiek znajdującego się również na wysokim poziomie, nie były natomiast równie korzystne. Przemysł czeski, głównie metalowy i włókienniczy, nie miał na terenie samych Czech wystarczających baz surowcowych. Był więc z konieczności przemysłem przetwórczym, skazanym na importowanie surowców i eksportowanie wyrobów gotowych. Dlatego też taki przemysł musiał być z konieczności narażony na poważne wstrząsy zwłaszcza w okresach kryzysów gospodarczych, tym poważniejsze, że w walce o zdobywanie rynków zbytu musiał się spotykać z potężnym przemysłem niemieckim.

Utrzymywanie w tych warunkach przemysłu czeskiego musiało z konieczności — w tej czy w innej formie — spadać na barki chłopa czeskiego tym bardziej dotkliwie, że w ogóle państwo czechosłowackie — jako naturalny antagonista Rzeszy Niemieckiej, zmuszone było utrzymywać zawsze stosunkowo silną armię przeciw niebezpieczeństwu niemieckiemu, co również odbijało się boleśnie na kieszeni chłopa czeskiego.

W tych warunkach, doradzali agenci niemieccy — jedyną możliwością utrzymania wysokiej stopy życiowej Czech jest zaniechanie dalszego rozwoju przemysłu i agraryzacja kraju a ponadto bliższe złączenie się z obszarem życiowym Rzeszy niemieckiej, w której pierwszorzędne produkty rolne czeskie mogły znajdować nieograniczony zbyt.

Argumenty te trafiły do rozsądku agrariuszów. Pamiętnym jest artykuł b. premiera pobeneszowskiego, Rudolfa Berana, ogłoszony dn. 1 stycznia 1938 r. — a więc na długo jeszcze przed upadkiem Czechosłowacji — w którym Beran zwalczał politykę antyniemiecką Benesza i domagał się porozumienia z Niemcami.

Idąc dalej konsekwentnie po raz obranej drodze agrariusze wywarli decydujący nacisk na Benesza w krytycznych dniach października 1938 r. i zmusili go do zaniechania oporu.

Gra niemiecka z czeskimi agrariuszami udała się więc w całej pełni.

I w tym właśnie widzimy główny motyw dla którego Niemcy dokonali próby wobec Wincentego Witosa. Jeżeli bowiem udało się zyskać dla koncepcji współpracy z Niemcami partię chłopów czeskich, to dlaczego ten sam dowcip nie miałby się udać — rozumowali napewno panowie z Auswärtiges Amt — w stosunku do chłopstwa polskiego a tym bardziej do takiego leadera chłopskiego, jakim był Wincenty Witos, znajdującego się na emigracji politycznej.

Wniosek ten wydaje się nietylko możliwy ale nawet pewny, zwłaszcza gdy uprzytomnimy sobie dobrze mentalność i sposób podchodzenia do zagadnień politycznych Niemców, dla których problemy gospodarcze grają potężną rolę i którzy mają nieprzepartą tendencję do wytwarzania jednolitych kryteriów „ogólnoludzkich“, lubią kryteria te stosować jednolicie do wszystkich sytuacyj życiowych bez względu na szerokość geograficzną, tradycje i imponderabilia moralne.

Czy „chłopstwo polskie“ — rozumowali napewno panowie z „Auswärtiges Amt“ — nie będzie równie podatne — jak chłopstwo czeskie — na argumenty wysokich cen rolnych, jakie osiągnąć się da po osiągnięciu współpracy z Niemcami.

Idąc tą drogą rozumowania, panowie ci przypuszczać nawet mogli, że z chłopstwem polskim uda się tę sprawę załatwić jeszcze łatwiej niż z chłopstwem czeskim. Jasnem jest przecież, że w razie związania się Polski z Niemcami polskie produkty rolne, których ceny były znacznie poniżej cen czeskich, jeszcze silniej wzrosłyby niż produkty czeskie a tym samym rolnik polski mógłby oczekiwać większych na takiej kombinacji zysków niż rolnik czeski.

Na przeszkodzie przeciwko przyjęciu tych tak „ponętnych“ propozycyj mógł stać jedynie patriotyzm chłopstwa polskiego.

Ale ta kwestia nie powinna być przecież — znowu rozumowali napewno panowie z Auswärtiges Amt“ — aż tak dużą przeszkodą, aby uniemożliwić przyjęcie tych propozycyj.

Przecież w tym samym czasie gdy Niemcy wykańczali rozgrywkę czeskosłowacką, kończyła się w Hiszpanii wojna domowa, w której, jak dobrze wiadomo, nawet narodowe elementy nie wzdragały się przed korzystaniem pełną garścią z zagranicznej pomocy, wyrażającej się nietylko w dostawach amunicyj ale i w całych korpusach posiłkowych włoskich i niemieckich.

Takie było niewątpliwie rozumowanie niemieckie, gdy robili próby wprowadzenia dywersji do naszego kraju.

W tym rozumowaniu kryje się też odpowiedź na pytanie, dlaczego właśnie do Witosa, a nie do kogo innego, zwrócili się z tymi propozycjami.

Właśnie W. Witos w rozumowaniu niemieckim mógł być najbardziej podatny na takie argumenty, ponieważ był najbardziej zbliżony pod względem koncepcji gospodarczych do agrariuszów czeskich i ponieważ on z pośród wszystkich innych emigrantów polskich nie mógł być uważany za zdeklarowanego wroga hitleryzmu — jako ideologii.

W kuszeniu Witosa jest więc jeden bardzo istotny moment — niestety prawie zupełnie pominięty w dotychczasowej dyskusji — mianowicie to, że d ą ż ą c d o z n i s z c z e n i a P o l s k i, N i e m c y i s t o t n i e c h c i e l i u ż y ć a r g u m e n t u c h ł o p s k i e g o, a b y r o z b i ć P o l s k ę o d w e w n ą t r z.

I dlatego też sprawa Witosa nie może być uważana jedynie jako problem personalny — ale jako zasadnicze zagadnienie, jako próba odepchnięcia od idei Państwa Polskiego — chłopstwa polskiego. Taka sama próba jak ta, jaką zastosował — niestety z powodzeniem — rząd carski w okresie powstania styczniowego.

Ale w jednym hitlerowcy się pomylili — pomylili się w ocenie chłopa polskiego w Niepodległej Polsce, już nie tylko w jego masie, lecz nawet w wypadku, gdy chłop ten z takich czy innych powodów znajduje się w ostrej opozycji politycznej do istniejącego w danych warunkach systemu rządów.

I to jest również rzecz, która ma w tej sprawie — niezależnie od stosunku do Wincentego Witosa — znaczenie zasadnicze.

Roman Piotrowicz

Sprawa Palestyny i sprawa żydowska

W palestyńskiej sprawie napotkała W. Brytania na twardy, niewątpliwie nawet bardzo twardy orzech do zgryzienia.

Ogłoszony ostatnio projekt rozwiązania palestyńskiej sprawy nie wzbudził entuzjazmu dosłownie nigdzie. Projekt ten przewiduje powstanie w przyszłości samodzielnego państwa Palestyny, w którym „obie narodowości uczestniczyć będą w rządzeniu krajem w sposób zabezpieczający żywotne interesy każdej z nich", jednakże zestawiając z tym twierdzeniem inne postanowienia projektu, można orzec, że Żydzi w projektowanym tym państwie pozostawać mają na zawsze stosunkowo nieznaczną tylko mniejszością. Wypływają z tego podwójne dla Żydów konsekwencje. Z jednej strony czynnik arabski, jako dominujący i daleki od przychylności dla Żydów, uniemożliwi swobodny rozwój żydowskich tradycji i kultury. Po drugie przekreśli to aspiracje sjonizmu, dążącego przecież do stworzenia własnego państwa, w którym element żydowski mógłby przeważać we wszystkich dosłownie dziedzinach.

Należy przyznać, że świadom nastawień, ożywiających żydowsko-arabskie stosunki, poczynił mandatariusz cały szereg zastrzeżeń, warunkujących powstanie samodzielnej Palestyny. Zastrzeżenia te ustanawiają przede wszystkim, że nastąpić to może dopiero po dziesięciu latach od daty przyjęcia projektu. W ciągu tych dziesięciu lat stosunki między obu zainteresowanymi narodowościami ulec ponadto muszą zmianom, pozwalającym na liczenie, że odejście mandatariusza nie stanie się sygnałem powszechnej żydowsko-arabskiej rzezi. W miarę też polepszania się stosunków obie te narodowości wciągane będą do czynnego udziału w rządzeniu krajem. W pewnym natomiast okresie czasu zwołane być może ciało reprezentacyjne, które zajmie się opracowaniem konstytucji przyszłego państwa. Ustawa ta zagwarantować musi brytyjskie interesy strategiczne i gospodarcze oraz wszelkie prawa mniejszościowych grup narodowościowych.

Z wymienionych tych postanowień projektu wyraźnie wynika, że zmierza w nich W. Brytania do zabezpieczenia swych imperialnych interesów na modłę traktatów z Irakiem i Egiptem. Przejawia się w nim pewna również troska o umożliwienie określonych rozwojowych warunków przeszłego palestyńskiego państwa. Pod tym względem nic nie można zarzucić projektodawcom. Inaczej jednak przedstawia się sprawa z zagadnieniem imigracji, która w samym już założeniu istnienia żydowskiej siedziby narodowej miała stać się fundamentem i ostoją. W tej ostatniej dziedzinie nie można mieć nadal żadnych prawie złudzeń. Jeżeli bowiem sprawa utworzenia palestyńskiego państwa jest warunkową kwestią dalekiej jak na dzisiejsze czasy przyszłości, żydowska imigracja do Palestyny dziś już zamknięta została w ramach ściśle określonego okresu i w granicach z góry wytyczonych liczb.

Postanowienia projektu w tej właśnie dziedzinie są najbardziej formalne i kategoryczne. Mówią bowiem, że żydowska imigracja dopuszczana będzie w granice Palestyny jeszcze w przeciągu pięciu tylko lat. Po upłynięciu tego terminu żaden obcy Żyd nie będzie mógł osiąść na jej terytoriach bez wyraźnej na to zgody palestyńskich Arabów, co jest oczywiście równoznaczne z całkowitym zamknięciem granic Palestyny przed dotychczas zasilającą jej gospodarstwo żydowską falą wychodźczą. Należy dodać, że nawet w ciągu tych pięciu lat żydowskie uprawnienia imigracyjne nie są nieograniczone. Ustanawia się bowiem zgóry dziesięcio tysięczną roczną kwotę migracyjną. Powstałą w ten sposób liczbę 50.000 Żydów, mogących osiąść w Palestynie, uzupełni dalsze 25.000 w momencie, gdy palestyński Komisarz mandatariusza uzna, że istniejące w Palestynie warunki nie stworzą żadnych przeszkód dla ich osiedlenia.

Kategoryczne rygory tych postanowień stwierdzają ponadto radykalną zmianę w założeniach migracyjnych polityki mandatariusza. W samej rzeczy, jak to oświadczył minister kolonii w 1936 jeszcze roku, „kierownicze zasady odnośnie dopuszczania imigrantów wypływają z założeń gospodarczej chłonności kraju. Rząd J. K. Mości nie zamierza bynajmniej dokonać zmiany tych zasad". Identyczne w swej treści oświadczenia składane bywały przez brytyjskiego reprezentanta nie na jednej też sesji Mandatowej Komisji Ligi Narodów. Ścisłe stosowanie takiej polityki umożliwiało powiększanie żydowskiej ludności Palestyny w miarę otwierania się nowych źródeł jej wyżywienia. Projekt obecny odrzucił te zasady i oparł migracyjną politykę mandatariusza na politycznych założeniach, które mają ustalić niezmienny ilościowy stosunek Żydów do Arabów, przewidując praktycznie, że na każdego Żyda przypadać będzie stale dwu Arabów. Teoretycznie bowiem biorąc, 75.000 nowych żydowskich imigrantów podniesie liczbę palestyńskich Żydów do mniej więcej 500.000, co w przybliżeniu stanowić będzie 1/3 ogólnej ludności Palestyny.

Analizując postanowienia projektu, ustanowiającego warunki, w których Żydzi będą mogli nabywać w przyszłości palestyńskie ziemie, będziemy musieli stwierdzić, że przyszli imigranci będą mieli i w tej także dziedzinie znacznie więcej trudności niżli ich poprzednicy. W samej rzeczy przewiduje się na przykład uposażenie palestyńskiego Komisarza w uprawnienia, umożliwiające podział Palestyny na rozmaite strefy, w których wykupy ziemi przez imigrantów będą całkowicie zakazane, albo przynajmniej znacznie ograniczone. W świetle projektowanych norm zgodzić się należy z poglądem *The Manchester Guardian* (18. V. 39.) twierdzącym, że „rozumie się przez to oczywiście, że wstrzymane będzie żydowskie osadnictwo, aczkolwiek rząd nie ma odwagi powiedzieć tego wyraźnie".

Jeżeli takie właśnie losy czekać mają Palestynę i żydowską w niej ludność w świetle nowego projektu, nie przesądza to jeszcze całkowicie rzeczywistego rozwoju dalszych palestyńskich wypadków. Dużo jest jeszcze bowiem czynników, które zaważyć mogą na istotnej realizacji zawartych w projekcie zamierzeń. Wśród licznego ich zespołu pewna rola może przypaść także i Lidze Narodów, zważywszy szczególnie na znane brytyjskie przywiązanie do genewskiej instytucji. Biorąc dalej pod uwagę, że przyjęcie projektu przez parlament angielski dokonane zostało znikomą tylko większością, przy dużej ilości wstrzymujących się od głosowania, nie można przesądzać jego chwiejności nawet na czysto brytyjskim gruncie. Nie bez racji twierdzi naprzykład *The Manchester Guardian* (25. V. 39.), że „w spokojniejszych czasach powstrzymujący się od głosowania, przynajmniej ich większość, mieliby oczywiście mniejsze skrupuły, głosując przeciwko rządowemu projektowi", gdy obecnie nie chcieli przysparzać brytyjskiemu rządowi kłopotów, mogących pociągnąć dalej idące i najrozmaitsze niebezpieczeństwa. Uwzględniając ponadto, że sama już wiadomość o złożeniu projektu wywołała burzę protestów zarówno ze strony Żydów jak i Arabów oraz spowodowała nowe zaburzenia i akty terroru w Palestynie, sądzić należy, iż nie myli się *Frankfurter Zeitung* (20. V. 39.) pisząc, iż „nowy projekt nie jest rozwiąza-

niem, jest w najlepszym wypadku jedynie tylko etapem sprawy".

Nie przesądzając jednak dalszego rozwoju palestyńskich wypadków, należy dzisiaj stwierdzić, że przynajmniej na czas dłuższy nie można liczyć na ewentualność wchłonięcia przez Palestynę większej ilości europejskich Żydów. W ten sposób sprawa Żydów w Europie, a w Polsce w szczególności, pozostaje nadal otwarta. Lecz jeśli tak — to trzeba liczyć się z faktem, że w miarę upływania lat kwestia ta stawać się może coraz ostrzejszą. Stąd też płynie tym żywsza konieczność nie ustawania w poszukiwaniu nowych dla niej rozwiązań. Istotnym sposobem może być tutaj jedynie międzynarodowe porozumienie, otwierające dla żydowskiego osadnictwa rozległe i możliwe do zagospodarowania tereny. Osiągnięcie tego porozumienia winno być, naszym zdaniem, znacznie ułatwione, właśnie ze względu na to, że niektóre zachodnio-europejskie mocarstwa, przede wszystkim Anglia, poczuwają się przecież do zobowiązań, które zaciągnęły, ustanawiając ongiś żydowską siedzibę narodową w Palestynie, której granice mają właśnie na zawsze czy też na czas dłuższy zamknąć się przed Żydami.

Rozważania te nasuwają nam przypuszczenia, że nie było rzeczą przypadku, iż równocześnie niemal z ogłoszeniem Białej Księgi, grzebiącej żydowskie nadzieje, opublikowano raport amerykańsko-brytyjskiej komisji, badającej możliwości osadzenia żydowskich wygnańców w Guyanie. W opinii bowiem tej komisji terytoria brytyjskiej Guyany, nie będąc idealnym miejscem dla osadników ze Środkowej Europy, otwierają jednak przed niemi stosunkowo szerokie możliwości osiedleńcze. Tak bowiem warunki klimatyczne, jak żyzność gleby, zasoby naturalne oraz komunikacyjne możliwości nie nastręczają nieprzezwyciężonych przeszkód dla zainicjowania próbnych doświadczeń. To też wnioski komisji mówią wyraźnie o początkowym osiedleniu około 5.000 osób. Opinie te są tym cenniejsze, że wbrew rozpowszechnionym przesądom reprezentanci najrozmaitszych gałęzi kolonialnej wiedzy autorytatywnie orzekli, iż tropikalne osadnictwo białych kolonistów nie napotyka już dzisiaj tych trudności, w które jeszcze wierzono dziesiątek lat temu. Oświadczenia te są ważkie dla sprawy żydowskiej, lecz nie mniej wartościowe dla rozwoju ogólnych spraw kolonialnych.

Nawiasowo dodać należy, iż niezależnie od kolonialnych dociekań gujańskiej komisji międzynarodowej poruszono także ogólnie tę sprawę w czasie niemieckich dni kolonialnych w Wiedniu. Omówiono tam mianowicie rezultaty długoletnich badań prof. O. Fischera z Tubingi, stwierdzającego na wstępie, że „ogromny postęp, dokonany w ostatnich latach w dziedzinie medycyny tropikalnej, przede wszystkim w dziedzinie zwalczania i zapobiegania tropikalnym epidemiom, nadaje całkowicie inne oblicze sprawom utrzymania zdrowotności Europejczyków i twórczych ich zdolności w gorących krajach kolonij". W rezultacie w konkluzji swych gruntownych wywodów, dochodzi on do wniosku, że „każdy Europejczyk, zdrowy na ciele i duszy, spokojnie dziś może inicjować w tropikach swą najbardziej różnorodną pracę zawodową".

Wojenne naprężenie, powszechnie dziś odczuwane, nie stwarza oczywiście przychylnej atmosfery dla poruszania spraw, mających znaleźć trwałe i wiele narodów obowiązujące rozwiązanie. Sprawę palestyńską, jak i sprawę żydowską, zaliczyć należy do tej właśnie kategorii. Niemniej trzeba, aby oba te zagadnienia były zawsze ustawiane w należytej płaszczyźnie doceniania ich ważności i pilności.

Tylko bowiem rzeczowe objęcie całości tych spraw ułatwi polityczne poczynania państw, zmuszonych do poszukiwania rozwiązań swych żydowskich zagadnień na drodze emigracji. Należy przecież pamiętać, że o ile żydowskie kłopoty państw poszczególnych nie dają im jeszcze tytułów prawnych do żądania międzynarodowego rozwiązania tych spraw, akt prawny, ustanawiający mandat Palestyny, nastręcza sposobność takiej właśnie argumentacji i takiej dyskusji.

Dyskusja tego rodzaju wymagać będzie jasnego i odważnego wysunięcia zupełnie zasadniczej w tym wypadku sprawy środków. Wbrew bowiem temu, że ostatnio sprawa środków pieniężnych łatwo jest pomijana przez stale mnożących się krajowych „specjalistów" kolonialnych, nowoczesna kolonizacja, szczególnie kolonizacja osadnicza, wymaga, jako warunku wstępnego, znalezienia potężnych kapitałów.

Problem ten musi być również potraktowany jako problem międzynarodowy. Moment, w którym dyskusja palestyńska przeradzać się będzie na terenie międzynarodowym w dyskusję o kwestii żydowskiej — powinien sprzyjać jasnemu i wyraźnemu sformułowaniu wniosków i postulatów również i w tym zakresie.

J. Reychman

Portugalski imperializm

Na łamach „Narodu i Państwa" omówiono przed kilku tygodniami interesujące zjawisko odradzającego się obecnie hiszpańskiego imperializmu. Skoro się jednak mówi o półwyspie iberyjskim nie można ominąć i pewnych tendencyj imperialistycznych współczesnej Portugalii.

Imperializm Portugalii? Czyż to małe państewko, od wieków uzgadniające swą politykę zagraniczną z Anglią, może przejawiać jakieś dążności imperialne? Wszak samo terytorium Portugalii jest terenem apetytów pewnych kół hiszpańskich, marzących stale drogą jakiejś „federacji iberyjskiej" o zjednoczeniu całego półwyspu.

Ale nie zapominajmy, że Portugalia to nie tylko te 7 milionów ludności nad Tejo, Douro czy Minho. Że ta mała dziś Portugalia dała swego czasu ludzi, którzy pierwsi opłynęli świat, przepłynęli pod Przylądkiem Dobrej Nadziei i cieśniną Magelhaesa, dopłynęli do Indyj i Brazylii. Że ta Portugalia posiadała aż do XVIII w. Marokko i dużą część Afryki, duże posesje w Indiach i imperium brazylijskie za morzami. Ta świetna przeszłość inspiruje wszystkie te „imperialistyczne" przejawy, jakie budzą się w Portugalii szczególnie od czasów objęcia rządów przez Salazara. Analizując tę morską przeszłość swej ojczyzny, współcześni Portugalczycy skłonni są widzieć w niej jakieś przeznaczenie ich narodu, jakąś misję dziejową „rasy luzytańskiej", która dała ludzkości najstarsze pojęcia o żegludze, orientacji morskiej. Już Fenicjanie mieli się nauczyć swych wiadomości żeglarskich od zamieszkujących Luzytanię przodków dzisiejszych Portugalczyków. Szkoła żeglarska infanta Henryka w Sagres wychowała tych wszystkich żeglarzy i pilotów, jacy używani byli w następnym okresie do wielkich odkryć. Jest tradycja, że od wieków czy to od jakichś nieznanych żeglarzy, którzy śmiało próbowali przepłynąć Atlantyk, czy to z resztek tradycji o jakichś ziemiach za morzami na Zachód (Atlantyda?) Portugalczycy mieli jakieś niejasne wyobrażenia o wyspach Kanaryjskich, Cabo Varde czy nawet Ameryce, tak że nie brak dziś głosów przypisujących nawet Portugalii pierwszeństwo w odkryciu lądu.

Ale duma dzisiejszej Portugalii płynie nie tylko ze świadomości owego wysiłku odkrywczego i rozmiarów dawnego imperium kolonialnego. Płynie jeszcze bardziej ze świadomości wysiłku cywilizacyjnego i administracyjnego Portugalii. Ta malutka Portugalia, mająca w połowie XVI wieku około 1 i pół miliona mieszkańców, potrafiła zarządzać 8 milionami kilometrów kwadratowych Brazylii, potrafiła czynić pokaźne przedsięwzięcia cywilizacyjne w Marokku, potrafiła swą kulturą wywrzeć taki wpływ na kolonizowane terytoria, że nie tylko olbrzymie połacie Brazylii, ale i dawniej od-

padłe kolonie na Jawie, Cejlonie długo zachowały wpływ języka portugalskiego.

Książki po portugalsku drukowały się jeszcze w Batawii w r. 1723 mimo tyloletniego już panowania holenderskiego; na Cejlonie do dziś dnia mówi się jeszcze po portugalsku, a ślady tego języka znać w szeregu gwar Japonii. Poza tym jeszcze jeden moment przez współczesną Portugalię specjalnie wysuwany: niezwykła tolerancja narodowościowa dawnego „imperium" kolonialnego Portugalii, gdzie zarówno nie było osobnych praw dla białych i dla czarnych, jak też dla poszczególnych wyznań.

Kronikarz z przełomu XV i XVI w. Bernard Rodrigues, autor „Anais de Arzila", był Marokańczykiem, uważając się przy tym za Portugalczyka. Żywo pielęgnowano świadomość, że nie ma „metropolii" i „kolonii", lecz wszystko to stanowi jedną całość, jedno państwo. Już Pombal zamierzał w XVIII w. przenieść stolicę państwa do Ceará w Brazylii; pomysł ten przeniesienia stolicy za morze został zresztą później zrealizowany przez Jana VI, aczkolwiek w warunkach przymusowych, w ucieczce przed Napoleonem.

Szukając przyczyn, dla których niegdyś okazywali taką dążność do ekspansji, Portugalczycy nie widzą ich ani w motywach ekonomicznych, ani demograficznych, ani politycznych, pragną je widzieć natomiast w jakichś wrodzonych pierwiastkach. „Prowadzony do odkrycia świata przez motywy, które korzeniem tkwią w podłożu autochtonicznym rasy i które stanowią przeznaczenie etniczne o niezrównanych skutkach" — pisze b. gubernator Angoli José de Almeida w swej książce „O espirito da raç portugueza na sua expansao além-mar" („Duch rasy partugalskiej w jej ekspansji zamorskiej", 1933) — „naród portugalski realizuje w kolonizacji wyższą formę swej misji dziejowej..."

To są hasła, stanowiące podłoże współczesnego „imperializmu" portugalskiego. Oczywiście nie myśli ten imperializm poważnie o zmianach granicznych w Europie, choć i tu niejednokrotnie wypływał t. zw. problem Galicji, to jest prowincji hiszpańskiej, położonej na północ od Portugalii, która, wedle Portugalczyków, etnicznie, historycznie i geograficznie łączy się z Portugalią. O przyłączeniu Galicji do Portugalii myśleli niejednokrotnie władcy Portugalii od D. Alfonso Henrigues aż do Pedro II i hr. de Castello Melhor. Gdy w r. 1931 po ogłoszeniu republiki w Hiszpaniii zaczęły się tam ujawniać skłonności federacyjne, których najbardziej obawiała się właśnie Portugalia, uważająca się za zagrożoną przez „paniberyjskie" tendencje tego federalizmu, wypłynął wówczas projekt, aby dla zachowania równowagi Galicja przypadła Portugalii (artykuł „Intercambio Galaico-Portuguez" w czasop. *Portugal Colonial* z marca 1933). Nie brak głosów, domagających się o ile nie Galicji to w każdym razie miasta Olivença z okolicą, utraconego na rzecz Hiszpanii dopiero w traktacie wiedeńskim (115).

Ale nie te galicyjskie projekty stanowią główne dziś zainteresowanie portugalskich „imperialistów". Nie zapominajmy, że dziś jeszcze Portugalia ma rozległe kolonie. A choć są to tylko resztki świetności, to jednak świadomość ich posiadania jest w Portugalii coraz większa. Minęły te czasy z XIX wieku, gdy Lizbona jakby nie wiedziała nawet, że ma jakieś kolonie, gdy były to tereny prawie bezpańskie, gdzie Anglia i Niemcy wyznaczały sobie strefy wpływów, tereny, które obcy mieli zamiar rozdawać jak Zagłoba Niderlandy. Dziś Portugalia nie chce myśleć o zrzeknięciu się swych kolonii. Za rządów Salazara poświęcono im specjalnie dużo uwagi. Nowe przez rządy Salazara lansowane wyrażenie „Imperium Portugalskie" obejmuje i kolonie, których mieszkańców jest jednakże bezmała 8 milionów, czyli więcej jak w macierzy — uważanych wszystkich za Portugalczyków. To rozciągnięcie swej narodowości na te osiem milionów ludzi różnych kolorów, ras czy wyznań było częściowym zaspokojeniem imperialistycznych apetytów Portugalii. „Chwila nadeszła" — pisał wielki dziennik lizboński „Diario da Manha" z okazji otwarcia kursu o koloniach w marcu 1935 r — „żeby mówić do ludu o imperium... Powiedziano słusznie, że przyszłość Portugalii znajduje się w koloniach Tam właśnie przyszłe pokolenia winny uczyć się prowadzenia życia produktywnego i twórczego. Jak to można się przekonać, my wszyscy jesteśmy wezwani do udziału w tej krucjacie wychowania nacjonalistycznego, albo w sposób czynny, albo popierając ją naszą inteligencją i naszą dobrą wolą... *Mamy potrzebę wytworzenia mentalności imperialnej*, to znaczy, że wszyscy Portugalczycy winni zrozumieć i czuć, że Portugalia i jej kolonie tworzą jedno niepodzielne ciało..." Ten moment wciągnięcia całej ludności kraju i kolonii do odpowiedzialności za całość „imperium", to jeden ze sloganów portugalskich ostatnich czasów: „integralność naszego imperium" — mówił swego czasu minister kolonii Fr. Vieira Machado — „jest uważana przez cały naród bez różnicy rasy, przekonań politycznych czy wyznania religijnego za niewzruszony postulat jego suwerenności i wolności".

Współczesna Portugalia pragnie więc w swym „imperializmie" nawiązać nić dawnej tradycji. Jak się to jej uda, czy współcześni Portugalczycy okażą tyle zdolności ile ich przodkowie w XV i XVI w., czy wrodzone pierwiastki „rasy luzytańskiej" raz jeszcze wyładują się w twórczych poczynaniach w „terres d'além-mar" — o tym trudno będzie jeszcze prędko powiedzieć. Narody przeżywają swe wzloty i upadki. Portugalia przeżywa bezsprzecznie okres wzmożenia sił narodowych.

Piotr Łastówka

Powojenna literatura białoruska w Polsce 1)

Literatura białoruska przeszła przez szereg interesujących etapów. Podział jej na okresy wynika nie tylko z przesłanek artystycznych, ale również i ideologicznych z szerokim uwzględnieniem podłoża materialnego, a więc politycznego, socjalnego oraz duchowych potrzeb i sytuacji narodu białoruskiego.

Początkowo literaturę białoruską tworzyli pisarze, którzy dzięki swemu stanowisku socjalnemu, należąc do środowiska szlacheckiego, niekiedy nawet rosyjskiego, nie mogli należycie wyrażać potrzeb białoruskiego ludu. Wprawdzie pisali po białorusku, były to jednak raczej tylko próby przetwarzania forkloru. Po roku 1905 pojawia się dopiero pierwszy periodyk białoruski.

Wkrótce *„Nasza Niwa"* pomnaża zastępy piszących po białorusku i staje się kolebką prawdziwej poezji białoruskiej.

Po wojnie światowej Naród Białoruski i jego młode piśmiennictwo znalazły się w szczególnych warunkach politycznych, które wywierają przemożny wpływ na kształtowanie się odrębnych kierunków i rodzajów twórczości po obydwóch stronach granicy polskiej i sowieckiej, po części litewskiej oraz łotewskiej.

Większość Białorusinów (przeszło 8 milionów) pozostała w Rosji Sowieckiej, gdzie do r. 1930, w czasie t. zw. „nacdemawszczyzny", piśmiennictwo białoruskie szczęśliwie i pomyślnie się rozwija, osiągając dość wysoki poziom techniki pisarskiej. Krzepnie styl i krystalizuje się język literacki białoruski. Niestety, rozwój ten wkrótce ulega zahamowaniu. Rozbudzony ponownie nacjonalizm moskiewski rozpoczyna ostrą kampanię rusyfikacyjną. Następują „czystki", zesłania na Sołowki najbardziej utalentowanych pisarzy, zabijanie przez GPU najwybitniejszych przedstawicieli życia umysłowego Białorusi.

W obrębie Rzeczypospolitej Polskiej młoda literatura białoruska, pomimo ciężkich

warunków, w jakich żyją i pracują pisarze białoruscy, naogół dość pomyślnie się rozwija. Nawet Białorusini, którzy stali się utrakwistami kulturalnymi, którzy mają duże zasługi dla kultury polskiej (np. kompozytor prof. Kazuro, czy prof. Rutkowski) bynajmniej nie stracili ducha białoruskiego, który w ich dziełach żyje i przemawia...

Podając jedynie ogólny zarys współczesnej literatury białoruskiej w Polsce, nie wymieniam pisarzy i nie omawiam twórczości z okresów poprzednich, pomijam również twórczość sowiecką, kładąc natomiast nacisk na przedstawienie najmłodszej literatury, rozwijającej się w obrębie Rzeczypospolitej Polskiej.

Młode pokolenie pisarzy białoruskich, czerpiąc pełną garścią z duszy narodowej, wnosi do swych utworów rodzime pierwiastki kultury ludowej i znaczy swe utwory stygmatem białoruskości. Powszechny prąd nacjonalistyczny w Europie nie ominął i Białorusinów, jedynie przez sprzężenie się z ideologią agrarno-demokratyczną, wynikającą z położenia socjalnego ludności, wytworzył swoisty białoruski ludowy nacjonalizm, chłopski prąd narodowy.

Cechą tej narodowo-chłopskiej twórczości są tęsknoty i pragnienia narodowe, głęboka troska o kulturalne uświadomienie i rozbudzenie narodowe warstw ludowych i rozwinięcie życia społecznego na wsi białoruskiej. Dzisiejszy stan tej literatury przypomina żywo czasy Dubrowskiego i Hanki w odrodzeniu narodu czaskiego, czasy Sztura i Hurbana w odrodzeniu słowackim, czy wreszcie pierwsze okresy odrodzenia literackiego Ukraińców.

*

Ośrodkiem kulturalnym Białorusinów w obrębie Polski jest Wilno, gdzie się skupia i studiuje najwięcej białoruskiej młodzieży literackiej. Jedynie znikoma cząstka tej młodzieży zamieszkuje w wioskach rodzinnych.

Czołowym pisarzem młodego pokolenia białoruskiego jest M a k s y m T a n k (Eugeniusz Skórka). Urodził się on w 1912 r. we wsi Pilkowszczyznie powiatu postawskiego, niedaleko jeziora Narocz. Wojna światowa wyrzuciła go, jak wielu innych z tych okolic, w głąb Rosji, skąd powrócił w strony rodzinne dopiero w 1922 r. Przez długi czas, po pierwszych próbach jeszcze na ławie gimnazjalnej w r. 1928, pisywał do różnych pism, nie wierząc jeszcze we własne siły i nie osiągając celu. Dopiero w r. 1935 zaczyna się jego prawdziwa twórczość poetycka. Rok ten staje się dla Tanka przełomowy. Dojrzewa w nim pisarz. Poeta zbliża się do życia wioski, z którą był związany od dzieciństwa, a od której oderwała go wojna światowa. Zbliża się do ludu swego. Poznaje jego życie, wczuwa się w dolę i niedolę, wnika w znojną walkę o kawałek chleba powszedniego i staje się heroldem praw chłopa białoruskiego. Lira młodego poety dźwięczy już pięknem nadnaroczańskiej przyrody i robrzmiewa nutą smętnej, lecz pięknej wioski białoruskiej.

Pierwszy tom poezji Tanka ukazał się w druku w r. 1936 p. t. *„Na Etapach"*. Niestety, tom ten został skonfiskowany za zbyt jaskrawe przedstawienie bolączek socjalnych. Niezrażony tym poeta tworzy w dalszym ciągu, drukując swe utwory w czasopismach literackich „Kałośsie", Biełaruski Letapis" i inne. Utworem który budzi powszechne zainteresowanie i daje poecie rozgłos, jest poemat p. t. *„Narocz"*. Treścią tego poematu jest przedstawienie sytuacji, jaka wytworzyła się nad Naroczą w r. 1935, gdy władze administracyjne jezior Narocz, Miasia i Baturyna przekazały ich eksploatację Dyrekcji Lasów Państwowych, z czym związały się zakazy i ograniczenia swobodnego dotychczas połowu ryb, co wywołało silne niezadowolenie mieszkańców wiosek nadnaroczańskich.

Poemat „Narocz" jest nie tylko pięknym odbiciem życia i posiada walory ogólnoludzkie, ale także odbija się w nim socjalny obraz białoruski. Pierwsze jego słowa, którymi autor rozpoczyna podkreślając:

„Pryjdziom jaszcze, vioska, tvaje
pieśniary,
nia z torbaju pieśniau żabraczych:
biarozavym smykam, na strunach zary,
z taboj zaihrajem inaczaj"...

„Narocz", jak zauważył krytyk białoruski Stankiewicz (nr 13 „Kałośsie"), powinno przemawiać do każdego, nawet do tego, kto byłby przeciwnikiem i wrogiem bohaterów „Naroczy".

Wkrótce potem ukazał się tomik poezji Tanka p. t.: *„Żuravinavy Ćviet"*, w którym autor obrazowo maluje wioski, jeziora, lasy i cały przebogaty krajobraz białoruski jako źródło dotychczas prawie nie wyzyskane.

W tym tomiku spotykamy znów Świteź:

„Viecier hladzić chmarau cieni, mora żyta.
Znou haścincam u dal szyrokaju platusia.
Vypływajuć vioski, sioły Biełarusi,
siniaj kazkaj, pieraliunaj dremleć Śvitaź...

Tank jest nie tylko poetą, ale i prozaikiem. Zamieszcza nowele i artykuły w periodykach, jak *„Kałośsie"*, *„Letapis"*, *„Slach Moładzi"* i w innych. Nowele pisane są przeważnie w formie opowiadań i relacji o zdarzeniach prawdziwych.

Talent Tanka szybko się rozwija. Język jego staje się coraz bogatszy i jędrniejszy. Tank rozpoczyna jakby nową epokę pełniejszego doskonalenia się pod względem artystycznym i w literaturze białoruskiej niewątpliwie będzie miał na zawsze zapisane imię, jako jeden z tych nielicznych, którzy artystyczną twórczość białoruską dzwignęli na wyższy poziom.

*

M i c h a ł M a s z a r a urodził się w roku 1903 we wsi Taboły pow. dziśnieńskiego. Zamieszkuje tam dotychczas, żyjąc w bezpośredniej styczności z ludem i dzieląc z nim wszystkie jego troski, głód i nędzę. Maszara jest jednym z najpłodniejszych poetów-liryków. Na pierwszy rzut oka zbliża się do przedwojennej epoki *„Naszej Niwy"*, w poezji jego odtwarzane są te same słomiane strzechy, wąskie piaszczyste zagony, lasy, moczary i krzyże przydrożne, które stanowią temat białoruskiej poezji. W rzeczywistości różnica jest wielka: zamiast melancholii, tkliwości i łez, charakterystycznych dla czasów „Naszej Niwy", występuje u Maszary optymizm i wiara w lepsze jutro.

Ukazanie się w miesięczniku *„Nioman"* w r. 1932 pematu p. t.: *Vałaczobnaje"*, napisanego przez poetę w r. 1929, było pasowaniem Maszary na poetę.

„Vałaczobnaje", pogańsko-chrześcijańska msza za wyzwolenie białoruskie, poprostu zadziwia bogactwem kompozycji. Poemat napisany jest zmiennym metrycznie wierszem, o dużych walorach muzycznych:

„Siń ty siń viaśnianaja!
Znou żvinić ruczej.
Znou-ża soncam pjany ja, —
Sercam maładziej.
Łaszczuca szczacoczucca
Ciopłyja viatry.
Znou mnie bryzhać choczacca
Soładam viasny.
Heta nia pieśnia — imknieńnie.
Bujny viasnovy prylin
Vieru u tvajo adradżeńnie,
U zautra vakolic i niu.
Z sumam na pradvieśni,
Z piersiaj hrymotaj viasny
Z pierszaje żauruka pieśniaj
Radaść niasu vam braty".

Omawiając poematy Maszary warto dłużej zastanowić się nad niewielką broszurką pt.: *„Śmierć Kastusia Kalinouskaha"*, słynnego ongiś wodza powstania w r. 1863 na Białorusi i Litwie, napisaną w 70-tą rocznicę jego śmierci.

„Śmierć Kastusia Kalinouskaha" to apoteoza patriotyzmu. Maszara uwypukla i odzwierciadla piękną postać niedostatecznie dotychczas omówionego przez historię białoruskiego przywódcy walk powstańczych roku 1863. Początek utworu odrazu wprowadza czytelnika w akcję:

Paustańnie zhaszana, złamana,
Nadzieja zhublena iznou.
Po kraju usim kryvaviać rany
Pad dziki rohat kazakou.
Hulajuć carskija najmity,
Hulajuć katy i prymus!
Litwa i Polszcz kryvioj zality,
Leżyć staptanaj Biełaruś".

Następnie znów spotykamy bohatera, gdy czyni wyrzuty ludowi:

„Adnoha tolki nia wybaczu,
Adno z saboj ja paniasu,
Tabie narod narupnaść naszu
I vieru czystaju maju!"

Dialogi bohatera z sądem murawjowskim są pełne zapału. Jak w całym poemacie wiąże się w nich moment walki politycznej i społecznej:

„Ty, ty buntar! — miacieżnik dziki!
Ty — abaronca mużyka?!
Na ład mahutny i vialiki
Jak paniałaś tvaja ruka?.

Dalej sędzia zwraca się o wydanie tajnych organizacyj Polski, Litwy, Białorusi, obiecując wzamian wolność. Kastuś odpowiada na to z pogardą:

„Usio prymu.. nat mukau boli
I tolki tutaka żmiruś,
Adno — nia zdradżu ja nikoli
Pracouny lud i Biełaruś!"

W słowach pożegnalnych bohatera objawiają się białoruskie dążenia wolnościowe:

„Byvajcie j vy, siabry zmahańnia
Z pad znaku biełaha arła.
My razam jszli aż do rasstańnia,
Choć meta roznaja viała".

Pisząc ostatnie strofki poematu, autor znów podkreśla senność ówczesnego swego narodu:

„I z tych nichto nia czuu kaho jon klikau,
U aposzni czas śmiarszonotnych muk,
Bo spała Biełaruś".

Maszara wnika w sens życia i w istotę rozwoju historycznego. Rozumie, że tylko zjednoczony naród będzie mógł zabezpieczyć sobie trwały byt. Pojmuje znaczenie kultury, jako probierza wartości narodowej.

Następny poemat *„Mamcyna Horka"*, odtwarza okres pańszczyzniany. Fabułę utworu stanowi romans hrabianki z wiejskim chłopcem, synem jej mamki. Zaletą poema-

tu są między innymi piękne opisy przyrody i muzykalność wiersza. Oto pierwsze strofki:

„To nia struny źviniać
Hałasistyja
Zaszumieła życco
Kałasistaje
Vieciarok da jaho
Zalacajecca
I żartuje piaje
Uśmiachajecca".

albo w zakończeniu:

„Lehendy, — lehendy sivyja. —
Minułaje naszaj ziamli. —
Kurhany, mahiłki staryja
Vam schovam viakami byli".

Maszara w swoim dorobku literackim ma tego rodzaju strof wiele. Spotykamy je w zbiorkach poezji *„Na sonieczny bierah"*, *„Na Pradvieśni"* i innych. Utwory poetyckie Maszary spotyka się w każdym niemal numerze literackich pism białoruskich.

Młody poeta cieszy się wielką popularnością wśród ludu. Jego twórczość dostępna jest dla każdego wieśniaka. Wypowiada się w formie bezpretensjonalnej, ale z naturalnym wdziękiem i dobitnie. Jakby rościł pretensje:

„O, moj narod!
O, kraj moj sonny,
Ciabie słaby ja — nia zbudziu!
Ty śpis, jak spau duszoj pakorny,
I sonny błudzisz, jak błudziu...

Maszara jak i Tank nie zadawala się tylko poezją. Napisał również prozą sceniczny utwór p. t.: *„Lohki chleb"*, obrazek z życia wioski, przepojony wiarą we własne siły i pracę. Spotykamy także i nowele, m. in. wyjątek pierwszego rozdziału powieści p. t.: *„Zapiski biezrabotnaha viaskouca"*.

d. n.

R. Szymanko

ZAGADNIENIA

Więcej lekarzy na wsi

Lekarzy w Polsce mamy za mało. W 1935 r. mieliśmy w Polsce zaledwie 12.427 lekarzy, tj. 1 lekarz na 2270 mieszkańców. Zważywszy, że według norm zachodu właściwy stosunek powinien wynosić 1 — lekarz na ca 2000 mieszkańców, możemy z całą śmiałością stwierdzić, że brak nam jeszcze przynajmniej około 4.500 lekarzy. Ten absolutny deficyt lekarski nie uzmysławia jednak trudności zapewnienia ludności pomocy lekarskiej. Gorszym zjawiskiem jest fakt, że lekarze w Polsce są bardzo nieracjonalnie rozmieszczeni; w większych miastach mamy nadmierne skupienia lekarzy, podczas gdy wieś jest — zaryzykujmy twierdzenie — prawie zupełnie pozbawiona pomocy lekarskiej.

W dn. 1.I 1938 r. w miastach znajdowało się bowiem 10.429 lekarzy, podczas gdy w osadach i gminach wiejskich było ich tylko 1629.

Rozmieszczenie to prowadzi do takich objawów, że gdy w Warszawie 1 lekarz przypada na 491 mieszkańców to na wsi w województwie lwowskim przypadał 1 lekarz na 25.260 mieszkańców.

Innymi słowy: Jeżeli pominiemy nawet warunki komunikacyjne, Warszawianin ma 50 krotnie łatwiejszy dostęp do lekarza niż chłop z województwa lwowskiego. W stosunku do Polesia stosunek ten wygląda bardziej rekordowo, mianowicie 1 : 55.

Zagadnienie udostępnienia chłopu lekarza — a równolegle z tym taniego lekarstwa — staje się więc kwestią o ogólnopaństwowym znaczeniu. Projektów jego rozwiązania w całości nie omawiam w tym miejscu. Nie wchodząc jednak obecnie w dyskusję jak całość tej kwestii można by uregulować, jedno podkreślić należy; *jeżeli nie będziemy mieli odpowiedniej ilości lekarzy i farmaceutów i to takich lekarzy i farmaceutów, którzy zgodziliby się iść na wieś* — żadna poważniejsza reforma z punktu widzenia zdrowotnego nie jest do przeprowadzenia.

Coprawda można by było się spodziewać, że w razie zapewnienia lekarzom odpowiednich warunków egzystencji na wsi, — co zresztą jest zasadniczym warunkiem powodzenia wielkiej akcji osadzania lekarzy na wsi — część istniejącego obecnie nadmiaru lekarzy w wielkich miastach przeniosłaby się może na wieś. Zdając sobie jednak sprawę z psychiki naszej współczesnej miejskiej inteligencji, wątpić należy, czy znalazłaby się większa ilość takich „ochotników", którzy zgodziliby się rzucać duże miasto dla życia w „zapadłej wsi śród brudnych i niekulturalnych chłopów".

Z tych też względów bardzo jest wątpliwe czy sprawę leczenia wsi uda się pozytywnie załatwić w bliskim czasie.

Zdając sobie sprawę z tych trudności, nie należy jednak rozumieć — moim zdaniem — tego w ten sposób jak gdyby w ogóle nie należało nic robić. Przeciwnie już dziś winna być podjęta jaknajintensywniejsza akcja planowa, aby stworzyć — i to jak najszybciej — potrzebne kadry wiejskich lekarzy.

Wydana ostatnio ustawa, przewidująca dla młodych lekarzy obowiązek praktykowania 3 lata na wsi, nie wiele zmieni sytuację.

Po pierwsze tych młodych lekarzy jest bardzo mało w stosunku do zapotrzebowania wsi. Uniwersytety nasze wypuszczają bowiem rocznie zaledwie 300 lekarzy.

Po drugie młody lekarz nie zawsze dostatecznie przyda się na wsi, poprostu dlatego że sam jeszcze wiele nie potrafi i raczej może przyczynić się—czego się poważnie obawiam — do tego że ludność chłopska nie nabierze dostatecznego zaufania do lekarzy i w dalszym ciągu będzie się oddawać w ręce znachorów i różnych babek przyporodowych.

Ponadto prawdopodobnem jest, że wielu z pośród młodych lekarzy, zwłaszcza zaś tacy którzy pochodzą z miast, z trudnością znosić będzie pobyt na wsi i tym samym bardziej niechętnie odnosić się będzie do swej pracy.

W tych warunkach — moim zdaniem — najwłaściwszym rozwiązaniem tego zagadnienia jest, by w możliwie jaknajwiększym tempie i w jaknajwiększych rozmiarach wyszkolić lekarzy z pośród synów chłopskich.

Czy to jednak jest w ogóle możliwe w naszych warunkach! Oczywiście gdyby troskę o wyszkolenie lekarzy pozostawić samej ludności wsi — byłoby to niemożliwe, ponieważ rzadko który gospodarz mógłby sobie pozwolić na wykształcenie swego syna na lekarza, jednak sprawa ta mogła by uzyskać poparcie bądź ze strony państwa, bądź też instytucyj społeczno-finansowych jak np. Zakładu Ubezpieczeń Społecznych, który w Polsce po przez Ubezpieczalnie społeczne jest największym czynnikiem zatrudniającym lekarzy i w ten sposób mógłby ruszyć stosunkowo łatwo z martwego punktu.

Sprawę szkolenia nowych lekarzy możnaby stosunkowo łatwo i notabene niedeficytowo załatwić za pomocą niżej przedstawionego systemu stypendialno-ubezpieczeniowego.

Oczywiście wstępnym warunkiem kształcenia potrzebnej ilości lekarzy byłoby rozbudowanie fakultetów medycznych, bo jasne że bez uniwersytetów nie można szkolić lekarzy. W tej mierze decydujący jednak głos musi mieć Ministerstwo Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego.

Jeśli zaś chodzi o system stypendialno-ubezpieczeniowy, który miałby za cel umożliwienie młodzieży chłopskiej przeprowadzenie studiów lekarskich przedstawiałby się on następująco:

Z odpowiednio stworzonego w tym celu funduszu udzielałoby się stypendiów tym absolwentom szkół, — którzy chcieliby się poświęcić medycynie. Stypendia te zasadniczo winny być udzielane tylko maturzystom, w pewnych wypadkach studiującym już na medycynie studentom. Ponadto biorąc pod uwagę że w wielu wypadkach dziecko chłopskie, które poszło już nawet do szkoły średniej, nie może ze względów materialnych szkoły kończyć — wskazane by nawet było, aby subsydia umożliwić nawet i uczniom wyższych klas gimnazjalnych.

Stypendia te mogłyby być udzielane jedynie tym młodym uczniom, którzy byliby najzdolniejsi i dawali jaknajlepsze gwarancje szybkiego ukończenia studiów. aby pokrywały normalne czesne oraz niezbędne środki utrzymania. Jeśli chodzi o stosunki warszawskie przypuszczam, że wystarczałoby na utrzymanie 100 złotych miesięcznie dla studenta.

Subsydia te nie byłyby oczywiście bezzwrotne.

Przeciwnie. Byłyby one zwrotne a ponadto jeszcze oprocentowane w ten sam sposób, jak gdyby chodziło tu nie o subsydium ale o zwykłą normalną tranzakcję pożyczkową na dłuższy termin. Termin spłaty takiej pożyczki rozpoczynałby się z chwilą rozpoczęcia praktyki przez lekarza.

Tak więc wyglądałaby strona stypendialno-pożyczkowa tego systemu. Rzecz jasna, że gdyby akcja powyższa miała się ograniczyć jedynie do udzielania subsydiów nie dawałaby ona jeszcze funduszowi udzielającemu tych subsydiów - pożyczek gwarancji ściągnięcia wyłożonych sum. Liczyć się bowiem z tym należy, że część stypendystów musi odpaść, czy to wskutek śmierci, czy wskutek inwalidztwa, czy wskutek zaniechania dalszych studiów itd. Aby więc zabezpieczyć fundusz przed tego rodzaju stratami, wskazane byłoby ponadto obarczyć stypendystów specjalną premią ubezpieczeniową, którąby pokrywała ryzyko udzielenia takich pożyczek.

Szczegółowe obliczenie wysokości tej premji pozostawałoby już tylko sprawą aktuarjuszy.

Tak skonstruowany system stypendialno-ubezpieczeniowy miałby wszelkie znamiona normalnej umowy ubezpieczeniowej, np. umowy na dożycie itp. a tylko tym różniłby się od niej, że kwota ubezpieczona wypłacona byłaby przez ubezpieczyciela przed rozpoczęciem ściągania premii, premie ubezczeniowe zaś ściągane byłyby dopiero po wypłaceniu kwoty ubezpieczeniowej.

Innymi słowy byłaby to normalna umowa ubezpieczeniowa odwrócona o 180^{0}.

Przy ustalaniu premii musiałyby być uwzględnione, obok normalnych biometrycznych elementów i stopy technicznej, również i czas trwania studiów oraz czas opłacania zadłużenia przez ubezpieczonego-stypendystę.

Jeśli chodzi o czas trwania studjów — należy z góry zaznaczyć, że przeciętny okres trwania studiów uniwersyteckich w Polsce nie mógłby oczywiście być uwzględniony do kalkulacji bez specjalnej korektury. Przypuszczać bowiem należy, że okres studiów tego rodzaju stypendysty byłby krótszy od okresu studiów ogółu studentów, a to z tego powodu, że stypendysta miałby o wiele łatwiej-

sze warunki studiowania niż w przeciętu inny student, który takiego stypendium nie posiada i który wielokrotnie musi bądź przerywać studia bądź też przewlekać je, będąc zmuszonym do zarobkowania w czasie studiów.

Podkreślając to należy ponadto zaznaczyć, że wprowadzenie takiego systemu stypedialno-ubezpieczeniowego przyczyniłoby się zasadniczo do skrócenia czasu studiów, a tym samym dałoby państwu wiele dodatkowych oszczędności. Na podstawie dotychczasowych obserwacji i doświadczeń ustala się koszt wyszkolenia jednego lekarza w Polsce na około 40.000 zł. Oczywiście chodzi tu tylko o te wydatki które ponosi państwo na utrzymanie uniwersytetu. Jasnem więc jest że gdyby się udało dzięki temu systemowi uzyskać skrócenie czasu trwania studiów — to automatycznie zmniejszyłyby się również i wydatki państwa na szkolenie lekarzy.

Przy kalkulowaniu premii należałoby ponadto uwzględnić prawdopodobieństwo wypełnienia przez lekarza przyjętych zobowiązań co do wykonywania praktyki lekarskiej na wsi.

Jakkolwiek zobowiązanie się do wykonywania praktyki na wsi winno być zawarte w samej polisie ubezpieczeniowej, nie mniej jednak liczyć się należy z tym, że dany lekarz, może nie wywiązać się z tego zobowiązania. Ponieważ — o ile się orientuję — ani prawo o zobowiązaniach, ani przepisy o umowie o pracę, ani też ustawa o służbie lekarskiej — jeżeli pominąć ostatnio wydany przepis o obowiązku 3-letniego okresu praktykowania na wsi — nie dają podstawy do wymagania od lekarza by przez dłuższy okres czasu pracował na wsi, warunek ten musiałby też — moim zdaniem — przybrać formę finansowego zobowiązania polegającego na tym, że lekarz, który nie dotrzymał tego zobowiązania byłby zobowiązany do opłacania specjalnej kary umownej, która musiałaby być ustalona stosunkowo b. wysoko. Zbyt niska kara umowna nie stanowiłaby bowiem dostatecznej gwarancji przed naruszeniem umowy w tym punkcie przez lekarza. Kary uzyskiwane z tego tytułu przypadałaby na rzecz funduszu stypendialno-ubezpieczeniowego. Bliższe sprecyzowanie warunku dotyczącego wykonywania przez lekarza praktyki na wsi musiałoby być jeszcze bliżej omówione, w każdym jednak razie uważam za całkowicie dopuszczalne takie sprecyzowanie, by lekarz zobowiązał się do praktykowania na wsi conajmniej przez okres 15 lat po zakończeniu studiów medycznych.

Podobnie, aczkolwiek z uwzględniem specjalnych warunków, przedstawiałaby się również sprawa szkolenia farmaceutów.

Okres działania funduszu, o którym wyżej mowa, powinien trwać dotąd, dopóki nie nastąpi zaspokojenie zapotrzebowania na lekarzy.

Oto w ogólnych zarysach projekt planowego tworzenia kadr lekarzy.

Nie trzeba długo dowodzić, że w analogiczny sposób możnaby uregulować nietylko sprawę lekarzy, lecz również i innych zawodów, np. technicznych, które mają zasadnicze znaczenie dla szybkiego rozwoju gospodarstwa narodowego, bądź też które potrzebne są dla zapewnienia Państwu normalnego rozwoju.

K. Mal.

Zwiększyć energię

Stare, zdawałoby się przebrzmiałe, hasło „enrichissez-vous" staje się obecnie na nowo aktualne. Wprawdzie nie zupełnie w tym znaczeniu, jakie mu nadał jego autor. W ubiegłym bowiem wieku, u zarania wspaniałego rozkwitu gospodarki zachodnio - europejskiej, posiadało ono charakter liberalno-indywidualistyczny, równocześnie zaś ograniczało się do zagadnień ekonomicznych. Miało nawet odwodzić umysły od spraw polityczno - społecznych. Dziś, reaktywując aktualność tego hasła, można je, zgodnie z powszechnymi tendencjami uniwersalnymi, rozciągnąć na wszystkie dziedziny życia.

Czynnikiem, odradzającym żywotność nakazu bogacenia się, jest stan bezkrwawej wojny, jaki przeżywamy i który — jako groźba rozprawy orężnej — zdaje się przechodzić w stan trwały, może nawet chroniczny. Sfery kierownicze zaapelowały wobec tego do społeczeństwa, nawołując do normalnego gospodarowania. Taka reakcja wydaje mi się zbyt skromna i dlatego trudna do zrealizowania. Trudno bowiem trwać w nastroju niesłabnącej gotowości obronnej, a więc podnieść na tym odcinku natężenie energii życiowej i równocześnie odnosić się do reszty spraw z nastawieniem „normalnym". Tego rodzaju dwoistość napięć w jednym organiźmie może doprowadzić do zahamowań. Przecież koń pełnej krwi i szkapa dorożkarska nie mogą z pożytkiem stać w jednym zaprzęgu. Trzeba więc, aby energia i tempo wzrostu potencjału wojskowego znalazło odpowiednik w reszcie życia.

Kiedy zbliża się zaraza, nie wystarczy zachowywanie normalnej higieny ciała. Trzeba wtedy troskę nad utrzymaniem czystości podwoić a nawet potroić. Nasze życie narodowe jest obecnie w sytuacji człowieka zagrożonego epidemią. W takiej sytuacji jedynym celowym zabezpieczeniem jest ponad-normalne zwiększenie sił żywotnych całego organizmu.

Niech nad łóżkiem każdego Polaka, tak jak w dawnych czasach, wisi dobrze wyczyszczona i dobrze zaopatrzona w amunicję broń. Lecz na tym nie możemy poprzestać. Dzisiejsza wojna totalna obejmuje z jednej strony całe społeczeństwo, co nam, jako narodowi żołnierzy, nie jest, obce, z drugiej — całe życie zbiorowości. Ze względu na ten drugi punkt pogotowie musi więc dotyczyć nie tylko broni, ale rozciągać się na wszystkie twórcze przejawy życia. Dlatego w każdej dziedzinie konieczne jest wzmożenie potencjału pracy. Na każdym odcinku musimy tworzyć ze zdwojoną energią i produkować więcej niż normalnie, tak aby tempo wznoszenia COP-u znalazło analogię w każdym warsztacie pracy.

Niech więc syndykaty zdobywają nowe rynki zbytu. Niech fabryki zwiększą produkcję. Niech kapitaliści więcej inwestują. Niech rolnicy zwiększają pola uprawne i intensyfikują gospodarkę. Jednym słowem niech pieniądz pracuje w dwójnasób! To samo odnosi się do wszystkich innych dziedzin życia, do wszystkich pracowników fizycznych i umysłowych. Wszelka praca powinna w takiej chwili jak obecna być wydajniejsza niż normalnie, wszelki wysiłek bardziej celowy. Należy odrzucić pauzy i tchórzostwem podyktowane namysły i nie odkładać planów na później, ale je dziś jeszcze realizować. Każda rozprawa naukowa ukończona wcześniej, każde dzieło artystyczne, każdy projekt inżynierski, każda maszyna wyprodukowana szybciej — to dodatkowa zdobycz Państwa, która odrazu zwiększa wachlarz naszych dalszych możliwości. Nakazem dnia dzisiejszego niech będzie podniesienie produkcji i wzmożenie tempa pracy, hasłem: bogacenie Polski. Jest to bowiem jedna z form szczególnie celowej mobilizacji sił i możliwości potencjalnych.

DO CZYTELNIKÓW!

Ze względu na wywczasy wakacyjne oraz ogólny okres urlopowy następny numer—25-26—wydany będzie w nieco zwiększonej objętości z pewnym opóźnieniem w ostatniej dekadzie lipca

Redakcja

NOTATNIK GOSPODARCZY

Finansowanie importu wojennego

(aa). Zazwyczaj podchodzi się do trudności gospodarczych Niemiec od problemu ich ekspansji eksportowej. W tym przede wszystkim kierunku idą sugestie kierowników III Rzeszy. Niemcy nie mają odpowiednich rynków, na których mogliby umieszczać swe fabrykaty, muszą je zdobywać presją i szantażem politycznym, muszą poddawać swym wpływom, organizować je gospodarczo tak, aby mogły stać się kontrahentem pełnowartościowym dla gospodarki niemieckiej, rozwijającej się w specjalnej, sztucznie tworzonej atmosferze, której ciśnienie jest inne, niż przeważającej części otaczającego Trzecią Rzeszę świata. Wyrazem tego podejścia jest popularne zawołanie Hitlera „Niemcy muszą eksportować albo umrzeć". Niedawno któryś z publicystów sformułował na łamach prasy trochę paradoksalnie w porównaniu z tym hasłem brzmiącą tezę, iż istotne trudności Niemiec dałyby się zamknąć raczej w zdaniu „importować lub zginąć". Przyjrzawszy się bliżej tym obu stwierdzeniom, nie dojrzymy oczywiście między nimi jakiejś zasadniczej sprzeczności, uzupełniają się doskonale i stanowią w gruncie rzeczy obręcz jednego i tego samego błędnego koła, w którym zostały zamknięte kłopoty prawie wszystkich i to zarówno biedniejszych jak i bogatszych krajów, których życie gospodarcze znajduje się albo już na wysokim stopniu rozwoju przemysłowego, albo też do osiągnięcia takiej struktury przemysłowej dąży. Eksportuje się po to by importować, importuje by eksportować itd. itd.

Jest jednak w takim postawieniu sprawy, jak to sformułowanie o konieczności imnportu dla Trzeciej Rzeszy, pewne bardzo istotne spostrzeżenie, które należy rozwinąć. Otóż bez wątpienia w chwili obecnej znacznie większą wagę i to nietylko dla Trzeciej Rzeszy, ale i dla większości pozostałych krajów europejskich, posiada problem zapewnienia sobie normalnych, wystarczających dla potrzeb życia gospodarczego dostaw surowcowych i towarowych. Ich regularność i obfitość decyduje bowiem o potencjale militarnym, — krajów samowystarczalnych w tej części Europy, w której bezpośrednio toczy się wielka gra, niema. W tej sytuacji problem eksportu nabierać zaczyna wyraźnie cech zagadnienia wtórnego— ma on znaczenie ogromne, ale dlatego przede wszystkim, że płaci się nim koszta importu. Pamiętajmy znów bowiem, że nie wiele jest w Europie krajów, dla których problem zapłaty za przywóz nie gra istotnej roli choćby chodziło o wysiłek przejściowy, trwający lat parę, czy kilkanaście miesięcy.

Jeśli import ma już dziś tak doniosłe znaczenie, to zapewnienie jego wystarczającego nasilenia na wypadek otwartej rozgrywki wojennej będzie oczywicie czymś jeszcze bardziej doniosłym. Rodzi się w tym momencie pytanie, jakie możliwości finansowania importu na wypadek konfliktu posiada Polska w porównaniu z tymi państwami, które znajdą się w obozie przeciwnym. Odpowiedź znajdziemy w interesującym artykule p. Czesława Różańskiego, który ukazał się w ostatnim czerwcowym numerze „Polityki Gospodarczej". Jest ona optymistyczna, ale optymizm ten ma głębokie uzasadnienie:

Na ogół nasze możliwości, stwierdza p. Różański, w zakresie sfinansowania importu niezbędnego na wypadek wojny przedstawiają się dobrze. Wprawdzie ograniczenie zbędnego importu cywilnego nie może nam dać wielu oszczędności, które możnaby przerzucić na import „wojenny", gdyż nasza polityka handlowa już obecnie wyczerpała możliwości, ale mamy za to wielką rezerwę rąk pracy, która nawet przy mobilizacji wojskowej umożliwi nam utrzymanie produkcji na przedwojennej wysokości, a tym samym umożliwi eksport. Mamy szerokie możliwości zaciągania kredytów zagranicznych, wreszcie posiadamy bądź co bądź około półmiliardową rezerwę złota. Nasi przeciwnicy są tych wszystkich możliwości pozbawieni, względnie posiadają je w znacznie mniejszym niż my stosunku. — Nie znaczy to, oczywiście, aby nie czekały nas tutaj trudne zadania, ale z pośród zadań, jakie wysunie wojna, nie one będą najtrudniejsze.

Jeszcze o problemie mieszkaniowym

(aa) Punkt ciężkości problemu mieszkaniowego w Polsce leży w usunięciu przeludnienia mieszkań małych, 1 i 2 izbowych, w których w roku 1921 mieszkało 66,3% ludności, a w r. 1931 już 68,7% ludności miejskiej. Porównanie z zachodnio-europejskimi przeciętnymi — Anglia i Niemcy — wskazuje, iż w mieszkaniach 1 izbowych przypada u nas na pokój o 100 — 110% i więcej osób, w 2 izbowych o 50%, w 3 izbowych już zaledwie o 33%, a w 4 izbowych i większych mamy na pokój o ca 40% mniej osób niż w Anglii!

W dziesięcioleciu 1921 — 1931 sytuacja w mieszkaniach 1 izbowych uległa pogorszeniu: „gęstość zaludnienia" wzrosła z 3,80 na 3,85 osób, w mieszkaniach 2 izbowych obniżyła się nieco z 2,34 na 2,25, w mieszkaniach większych, gdzie normy były pomyślne, nastąpiła dalsza poprawa. Cyfry te wskazują, iż proces proletaryzacji w stosunkach mieszkaniowych rozwijał się dalej, rozpiętość warunków wzrastała.

Wg szacunków prof. Strzeleckiego dla rozładowania przeludnienia mieszkań małych i sprowadzenia go do normy 2 osób na izbę trzeba by było budować po 51,5 tys. izb rocznie w ciągu 20 lat, nie licząc izb budowanych na amortyzację niszczejących (25 tys. rocznie) i dla zaspokojenia potrzeb wynikających z przyrostu naturalnego (55 tys. rocznie). Tymczasem na 450 tys. izb zbudowanych w miastach w pięcioleciu 1932 — 1936 zaledwie 24 tys. przypadało na mieszkania 1 izbowe, a 121 tys. na 2 izbowe, to jest prawie pięciokrotnie mniej niż należałoby wg podanych wyżej obliczeń. Ogromna większość tych mieszkań przeznaczona była przy tym dla warstw zamożniejszych. Tendencja ta w ruchu budowlanym utrzymuje się po dziś dzień. Wg danych o ruchu budowlanym za ostatnie 2 lata dla miast liczących ponad 20 tys. mieszkańców — obejmują one ok. 60— 70% ogółu wznoszonych budowli — na 140 tys. izb, których budowę rozpoczęto w r. 1937 i 1938, zaledwie 51 tys., tj: 35%, należało do mieszkań 1 i 2 izbowych. Jak z powyższych danych widać pomimo znacznego wzmożenia budownictwa, ani tempo jego, ani linie rozwoju nie zaspakajają istotnych potrzeb mieszkaniowych.

Cyfry te są powszechnie znane, jednakże często nie chce się, lub nie umie wyciągnąć z nich odpowiednich wniosków. A tym czasem są one proste. Rozwiązywanie problemu mieszkaniowego w Polsce powinno iść po linii budowania jaknajwiększej ilości mieszkań małych. Zasada ta musi być stosowana zwłaszcza w budownictwie „torowskim", które powołane jest przede wszystkim do poprawy stosunków na odcinku mieszkań najmniejszych. Możliwości T. O. R. są ze względu na rozmiary kredytu, którymi dysponuje, bardzo ograniczone. W latach 1934—1938, tj. od chwili powstania T. O. R., wybudowano przy pomocy jego kredytów 18,3 tys. izb, z tego jednakże 15,6 tys. należało do mieszkań 1 i 2 izbowych (805 mieszkań 1 izbowych, 7398 mieszkań 2 izbowych. Jeśli będzie się lansować przy budowlach T. O. R., jak to niektóre koła w chwili obecnej czynią, tendencję zwiększania powierzchni mieszkań, a więc wzrostu kosztów ich budowy, wówczas możliwości te będą jeszcze mniejsze.

Zajmując się tym zagadnieniem dzisiaj, zdajemy sobie sprawę, że kwestie budownictwa mieszkaniowego schodzą w takich chwilach, jak te, które przeżywamy, raczej na plan drugi. Nie oznacza to jednak, by istotne znaczenie problemu mieszkaniowego malało równolegle ze wzrostem wrzenia wojennego. Przeciwnie, wojna może przynieść niezwykłe zaostrzenie tej kwestii, tak przynajmniej mówią nam doświadczenia z lat 1914 — 1920. Nie łudząc się by można było dziś myśleć o jakimś wielkim planie budownictwa mieszkań społecznych, tym więcej musimy dbać o to, by w granicach dysponowanych środków, gospodarka była najcelowsza i osiągnięcia maksymalne. Dlatego trzeba się tym bezwzględniej przeciwstawić tendencjom, które, jak wyżej wspomnieliśmy, są gdzieniegdzie lansowane, jeśli idzie o budownictwo torowskie.

Sensacje cyfr

(aa). Wkrótce ukaże się nowe wydanie Małego Rocznika Statystycznego na rok 1939. Nie wiemy jeszcze jakie inowacje ono przyniesie, czy znów, jak było to dotychczas zwyczajem, zwiększy swą objętość i uwzględni nowe działy. Pewne jest natomiast że stanie się źródłem dla setek artykułów na łamach prasy fachowej i codziennej, że dostarczy materiałów dla polityków i praktyków gospodarczych i społecznych — są to zwykłe zadania, które Mały Rocznik wypełnia z wielką starannością i sumiennością. Ale prócz tego ma on jeszcze inny, znacznie obszerniejszy odcinek pracy — jest podręcznym towarzyszem wielu dziesiątek tysięcy młodzieży uczącej się w gimnazjach, liceach i wyższych zakładach, oswajając ją z kolumnami cyfr, ucząc czytać i rozumieć dane statystyczne, czerpać wiadomości z pierwszej ręki!

Nie bardzo sobie może zdajemy sprawę jak ogromna ilość mylnych sądów i wyobrażeń zakorzeniona jest dzisiaj w Polsce dlatego tylko, że b. niewielu ludzi, mających wpływ na kształtowanie się poglądów, a więc publicystów, polityków, pedagogów i społeczników korzystało z pomocy statystyki, jak wielka panuje nieświadomość w zasadniczych sprawach dzięki zaniedbaniom przeszłości na tym odcinku, częściowo tylko usprawiedliwionych brakiem dostępnych i łatwych opracowań. Żeby nie być gołosłownymi, poszperajmy nieco w cyfrach. W zaniedbaniach naszego przemysłu orientujemy się dość dobrze, ale dla wielu z nas, karmionych opowiadaniami o zasobnej Polsce rolnej, będzie rewelacją, że samowystarczalność na odcinku zbóż zdobyliśmy na trwałe dopiero na przełomie lat 1929/30? Gdybyśmy lata deficytowe w zakresie produkcji poszczególnych zbóż oznaczali minusem, a lata nadwyżek plusem, okazałoby się, że w siedmioleciu 1922/23 — 1928/29 dla pszenicy liczba minusów, a więc kampanii w których musieliśmy importować ją z zagranicy, wynosiła 6, i tylko w r. 1925/26 zebraliśmy jej taką ilość, że wystarczyło i dla nas i na wywóz dla obcych. Dla żyta plusów byłoby 3, minusów tyle samo, a jeden rok równowagi produkcji i konsumcji. Dla owsa stosunek lat niedoboru do okresów nadwyżek wynosił 5 : 2. Jedynie w zakresie jęczmienia mieliśmy stale przewyżki eksportowe.

A może działo się to naskutek b. wysokiej konsumcji wewnętrznej zbóż, nie zaś słabego potencjału produkcyjnego? — Znów statystyka przeczy temu. W latach 1929 - 1931, a więc w

okresie kiedy naskutek koniunktury nastąpił wzrost spożycia ponad przeciętny poziom, konsumowaliśmy rocznie na głowę 209 kg żyta i pszenicy, podczas gdy w tym samym czasie Litwin zjadał 329 kg, Duńczyk tyleż samo, Belg 270, Czech 236, Węgier 233, nawet w innych warunkach geoklimatycznych żyjący Francuz 230!

Weźmy inny przykład — nasze zalesienie. Oczywiście Finlandii i Szwecji dorównać nie możemy — o tym wie każdy, ale czy wielu zdaje sobie sprawę, że będąc wielkim esporterem drzewa mamy mniejszy odsetek lasów w naszym państwie (22%) niż tak uprzemysłowione Niemcy (27,5%), albo nieistniejąca już Czechosławacja (33%)? Z 13 większych państw europejskich znajdujemy się na... 11 miejscu. Za nami idą tylko Francja (19,2%) i Włochy (18,7%)!

Podobnych przykładów mnożyć można dziesiątkami. Cyfry są nieraz literaturą nie tylko zajmującą, lecz zgoła sensacyjną. Nie trzeba tylko żywić nadmiernego przed nimi lęku.

PRZEGLĄD PRASY

Idea wspólna całemu Narodowi

Przeprowadzany rok rocznie „Tydzień Morza" służył przede wszystkim propagandzie Morza i ideologii morskiej w społeczeństwie polskim. W roku bieżącym tego rodzaju propaganda jest już niepotrzebna, gdyż rzeczywistość silniej niż argumenty słowne przemawia do rozumu, uczucia i instynktu narodowego. Dzisiaj „Tydzień Morza" stanowi zdecydowaną i mocną manifestację woli zbiorowej na rzecz naszego wolnego i pełnego dostępu do morza, gdyż — jak to słusznie podkreśla *Polska Zachodnia (nr 175)* — sprawa Polski na Bałtyku jest już sprawą wszystkich bez wyjątku Polaków.

„Czasy — pisze P. Z. — kiedy zagadnienia morskie w Polsce sprowadzały się do ich rozważania w gabinetach ministerialnych i do dyskusji na posiedzeniach sekcyj dla handlu zamorskiego naszych izb przemysłowo - handlowych — minęły bezpowrotnie. Dzisiaj zagadnienie morza i eksportu morskiego nie jest już obce ani robotnikowi, ani chłopu polskiemu, a tym mniej inteligentowi. Chłop i robotnik, którzy dawniej tyle o morzu wiedzieli, że trzeba je przepłynąć, aby znaleźć się na emigracji w krajach zamorskich, dzisiaj świadomi są tego, że szeroki zbyt polskich produktów przemysłowych i rolnych na rynkach zagranicznych przyczynia się nietylko do rozwoju gospodarczego kraju, ale także podnosi ich poziom życia. Nie dziwi nas przeto fakt, że robotnik ze swej strony przykłada specjalną wagę do produkcji na eksport, a chłop zabiega o to, by podnieść poziom dobroci produktów, które rolnictwo polskie z powodzeniem może wysyłać na rynki zagraniczne. I dla jednego i dla drugiego nie jest także tajemnica, że nasza zdolność konkurencyjna na rynkach zamorskich nie jest wyłącznie zależna od taniości produkcji, ale także od własnych dróg morskich. Świadomość tego sprawiła, że nasze porty morskie — Gdynia i Gdańsk—w oczach mas pracowniczych urosły do symbolu dobrobytu, a Bałtyk stał się masom pracowniczym tak drogim i bliskim, jak rola, która żywi i warsztat pracy, który daje okazję do zarobkowania. Idea morska, którą pieścili niezbyt dawno jeszcze w swym sercu nieliczni w Polsce, dziś stała się ideą, którą wyznają najszersze sfery społeczeństwa polskiego, stała się ideą narodową.

Nie ma »sprawy Gdańska«

Na łamach *Gazety Polskiej* (nr 176) red. K. Smogorzewski zwraca uwagę na bezdroża myśli polityków niemieckich, którzy wierzą i innym do wierzenia podają istnienie jakiejś „sprawy Gdańska", sugerując, że ta sprawa jest dziś aktualniejsza, niż kiedykolwiek.

Elementy tej „sprawy" formułują tak: Gdańsk jest miastem niemieckim i „chce do Rzeszy"; Rzesza chce tego samego, co Gdańsk, a więc... Konkluzja byłaby bardzo prosta gdyby nie istniała odwrotna strona medalu, to znaczy o mocną wolę całego narodu polskiego oparta polska racja stanu. Ta ostatnia zaś w danym przedmiocie streszcza się jak następuje: przez Gdańsk i przez Gdynię przechodzi cztery piąte pod względem pojemności a dwie trzecie pod względem wartości całego obrotu towarowego Rzeczypospolitej z zagranicą; wartość przeładunkowa tego obrotu rozkłada się dość równomiernie na oba porty polskiego obszaru celnego; wolny dostęp do morza, gwarantujący Polsce niepodległość polityczną i niezależność gospodarczą, możliwy jest tylko przez Gdańsk i Gdynię razem wzięte; aneksja Gdańska oznaczałaby w swych skutkach odepchnięcie Polski od Bałtyku, a więc — Polska nię może się zgodzić na żadną zasadniczą zmianę w statucie Wolnego Miasta.

Red. Smogorzewski kończy swoje wywody następującymi słusznymi konkluzjami:

Sentymentalny argument etnograficzny w ustach przywódców Trzeciej Rzeszy brzmi dziś jak niesmaczny żart. W każdej sprawie chcieliby mieć rację przy pomocy najwygodniejszego w danej chwili czy w danym wypadku argumentu: tu — narodowościowego, tam — gospodarczego, ówdzie — historycznego, a zawsze i wszędzie — strategicznego. Nie wiemy czy to prawda, że niemiecki Lebensraum rzeczywiście jest nie do pomyślenia bez aneksji 7 milionów Czechów i bez wzięcia pod „wojskową opiekę" 2 milionów Słowaków, ale jedno wiemy doskonale: 400 tys. Gdańszczan należy niewątpliwie do polskiego „obszaru życiowego".

„Sprawa gdańska" — jako wyraz jakiejś idealnej granicy etnograficznej — nie istnieje. Jest to sprawa dążenia Niemiec do hegemonii na kontynencie europejskim, jest to więc problem równowagi w stosunkach polsko-niemieckich. Jeśli ma być równowaga — a więc pokój — istniejący od lat 20 kompromis pomiędzy dwiema racjami stanu musi być w swej zasadniczej treści utrzymany.

»Lebensraum« w pryzmacie historii

Kurjer Wileński (nr 173) przypomina w związku z aktualnym ostatnio w Europie terminem tzw. przestrzeni życiowej, że termin ten — jeśli chodzi o stosunki wzajemne między Polską i Niemcami — jest tak stary, jak historia obu państw.

Walki polsko-niemieckie w których Niemcy zawsze byli stroną inicjującą walkę, wystarczą na dowód dawności i nie to ma znaczenie dla aktualnej polityki. Polacy nawet w momencie najbardziej unormowanych stosunków z Niemcami nie mieli złudzeń, co do trwałości tego stanu rzeczy. Istotne jest dopiero stwierdzenie, jaką rolę odegrywa i po co jest potrzebne narodowi niemieckiemu posiadanie na wschodzie obcych etnicznie — „przestrzeni życiowych".

Historia wykazuje, że stanowiły one zazwyczaj rezerwuar sił żywych i środków aprowizacji, dla szukania zwycięstw w ekspansji na zachodzie i południu

Okres przeszło 600-letniego rozbicia Niemiec na szereg drobnych państw, który poprzedził Bismarka, nie sprzyja obserwacji tego prawa rozwojowego. Okres jeszcze wcześniejszy, choć charakterystyczny pod tym względem, jest może zbyt odległy.

Wystarczy bowiem stwierdzić, że Sedan i zjednoczenie narodowych Niemiec przyszły po rozbiorach Polski, jako skutki okupacji ziem rdzennie polskich. Również podstawą polityki, która doprowadziła do wojny światowej, było poczucie potęgi w oparciu o siły ludzkie i aprowizacyjne Pomorza i Poznańskiego.

Teza ta staje się zrozumiała po zbadaniu struktury demograficznej wchodzących w grę ziem i ruchu ludności na nich:

Tereny etnicznie polskie, te które znajdowały się pod okupacją niemiecką i które częściowo dziś jeszcze należą do Rzeszy, odznaczają się wprawdzie słabszym zaludnieniem, ale znacznie wyższą rozrodczością.

Matki Polki rodziły niemieckiego żołnierza, a jeżeli nie żołnierza to w każdym razie robotnika dla Westfalii. Na to wskazuje stały ruch ludności z terenów wschodnich zwarcie polskich lub mieszanych do zachodnich Niemiec.

Prężność narodu niemieckiego zupełnie inaczej by wyglądała, gdyby mu całkowicie zabrakło terenów wschodnich rolniczych, z dużą rozrodczością i tendencją do imigracji na Zachód.

Propaganda niemiecka twierdzi oczywiście coś wręcz przeciwnego, ona stale domaga się od Europy i świata wolnych rąk dla zdobywania przestrzeni życiowej, łudząc opinię świata, że nasycenie się nią spowoduje spadek nastrojów wojennych.

Słusznie więc konkluduje pismo:

Każda zdobycz i każda koncesja terytorialna na rzecz Niemiec na Wschodzie czyni prawdopodobniejszym i groźniejszym atak zbrojnych sił niemieckich na zachodzie.

Ta prawda została wreszcie dobrze zrozumiana przez państwa zachodnie europejskie i wszystkich tych nawet polityków, którzy do niedawna byli zwolennikami karmienia nienasyconego smoka germańskiego kosztem Polski.

ADRES REDAKCJI I ADMINISTRACJI: Warszawa, Żórawia 7 m. 30, tel. 809-20. CENA PRENUMERATY: 10 zł. rocznie, 3 zł. kwartalnie, 1 zł. miesięcznie. Zagranicą: 21 zł. rocznie, 6 zł. kwartalnie. Prenumeratę wpłacać można w każdym urzędzie pocztowym: 1) pocztowym przekazem rozrachunkowym na rachunek 771, lub 2) blankietem nadawczym P. K. O. na konto 11144. Egzemplarz pojedyńczy 30 groszy.
CENY OGŁOSZEŃ: 1 strona 600 zł., 1/2 strony 300 zł., 1/4 strony 160 zł., 1/8 strony 80 zł., 1/16 strony 50 zł. W tekście o 50% drożej.
Redakcja przyjmuje: poniedziałki, wtorki, piątki godz. 10—11, środy godz. 17—18. Administracja czynna jest w dni powszednie w godz. 10—14.

Wydawca: Tow. Wydawnicze „Kuźnia" Sp. z ogr. odp. Redaktor odpowiedzialny: Janusz Korewo

Zakł. Druk. F. Wyszyński i S-ka Warszawa, Warecka 15 Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem.